

(Fragmenty)

Był synem prostego robotnika,
A opowieść o nim w paru słowach:
Tylko to — czoło w czarnych kosmykach
I oczy łagodne, szaffrowe.

Ojciec jego od świtu do nocy
Zginał grzbiet u obcych nad robotą;
On nie mógł jeszcze stanąć do pomocy,
A miał dwoje przyjaciół: Chrystusa i kota.

Kot był stary — ni słuchu, ni węchu,
Dawno temu zapomniał o myszach,
Chrystus siedząc u matki na ręku
Patrzył na gołębie u podstrysza.

Rósł Martyn, nikt o nim nie wiedział,
Dni stukały jak deszcz o blaszankę
I tylko przy ubogim obiedzie
Ojciec uczył go śpiewać Marsyliankę.

„Dorośniesz — mawiał — przyjdą lata,
Ze zrozumiesz, dlaczegośmy biedni!”
Tylko drżała nożna stal szczerbata,
Kiedy krajał czerstwy chleb powszedni.

Aż nagle pod samymi
Oknami
Dwa wiatry uderzyły
Skrzydłami:

To z wiosenym piórnikiem
Wód
Zerwał się rosyjski
Lud...

I oto kornus nastal
Ostatni srogi czas...
On jednak się nie zachwiał,
Ze śmiercią twarzą w twarz.

Nie zaznał nigdy lęku —
I teraz, kiedy padł,
Chciał martwiącą ręką
Ująć nadziei kształt.

Niepróżno żył, niepróżno
Miał kwiaty, deptał śnieg,
Lecz inne, jakże różne
Marzenia w sercu strzegł.

Aż wiem, wśród strzelaniny,
Sprzed nie domkniętych drzwi
Doleciał do Martyna
Ostatni ojca krzyk.

Z ustami zstąpiłymi,
Z odwołaniem rąk
Pochylił się ku ziemi,
Przy ciele martwym kląkł.

Lecz nagle uniosł głowę,
Twarz oblatł zakawiona,
Na powrót wbiegł do izby
I stanął pod ikoną.

„Zostałem sam, o Jezusie,
Czy głos mój cie dobiega?
Wolam cię i przyzywam
Ja, Martyn, twój kolega!

Mój ojciec polecił w boju,
Lecz padł nie pokonany...
To on, to on nas wzywa,
O, Jezusie mój kochany.

Pomocy od nas żada,
Wzywa nas ku tom polom...
Gdzie lud rosyjski walczy
Z uciskiem i niedolą!”

Nakłonił ucha Jezus,
Wysłuchał słów niewinnych,
I oto zszedł na ziemię
Ze smukłych rąk matczynych.

Ruszyli więc we dwoje
W ciemniutką ciemność nocy,
A cisza osławiła
Biedą się ku nim strozy.

Prowadzi ich nadzieja
Równości i swobody,
Łagodnie w twarz im wieje
Lutowy wietrzyk młody.

Wtem warkot mitralieży
Ogniami w ciemność sypnął
I padł młodzianek Jezus
Razony kulą chybką.

Postuchajcie:
Nie będzie więcej zmartwychwstań!
Ciało jego w ziemi pozostanie:
Leży

Na Polu Marsowym
Pod śnią,
A tam gdzie matka się smuci,
Gdzie już nie powróci
Jej synek,
Stary kot przy oknie
Siedzi samotnie
I łowi księżyc łapa.

Pełza Martyn od ściany do ściany:
„Jużeście sokoly pochwytań,
Już spętane,
Już za krata!”
Głos zamiera, cisza się piętzy,
Ktoś go dusi, ktoś niezłany niętzy

Ktoś pali ogniem,
Ale spokojnie dźwięczy
Za oknem,
To gasnąć to jarząc się
Znowu,
Żelazne
Słowo:
„Rre-ee-pu-u-blika!”

1917

Przełożył:
TADEUSZ MONGIRD



• Czy handel może być sprzymierzeńcem klienta? • Kolaboranci • Grają nasi • O cudownych uzdrowieniach — cd

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 31 (1284) ROK XXV

5 LISTOPADA 1982 ROKU

20 ZŁ

Decyzja

„POSZEDŁEM TAM, DO-
KĄD NIE CHCIAŁYŚCIE,
ABYM CHODZIŁ, DO WI-
DZENIA, IJIEZ”.

Kartkę z zacytowanym wy-
żej tekstem zostawił Włodzimierz
Lenin w mieszkaniu M.
W. Fofanowej 24 października
(6 listopada) 1917 roku.

Po powrocie do Rosji i prze-
myśleniu Lenina przez Jאלawę
na lokomotywie do Piotrogradu,
schronił się on w mieszka-
niu kobiety agronoma — M.
W. Fofanowej. Rodzina Fofa-
nowej wyjechała wcześniej na
Ural. O kryjówce Lenina wie-
działy tylko trzy osoby: jego
siostra, Nadziejda Kruczkowa i
taczniak Rachja. Lenin, nowi
wówczas peruka, na pewien
czas zgolił włosy i brodę. Na-
wet Fofanowej kazał nazywać
się Iwanowem, bo na to naz-
wisko miał wystawione doku-
menty.

Włodzimierz Lenin był zwo-
lennikiem powstania i w koń-
cu jego koncepcja zwyciężyła.
Ale o przygotowaniu samego
powstania wiedział tylko nie-
wielki sztab. Łaszko Gyurko w
książce „Lenin — Październik”
utrzymuje, że „nie znał on
planu szczegółowego”. A plan
ten przewidywał rozpoczęcie
powstania 25 października (7
listopada) 1917 roku o godzi-
nie 2. W planie przewidywano
zajęcie wszystkich mostów w
Piotrogradzie przez czerwono-
gardzistów. Tymczasem 24
października (6 listopada) M.

W. Fofanowa wróciła do domu
i powiedziała Leninowi, że
rząd kazał podnieść mosty.
Oznaczało to odcięcie przed-
mieść, gdzie była Czerwona
Gwardia, od śródmieścia, gdzie
były ważne urzędy i instytu-
cje, które należało zająć w
pierwszej kolejności.

Włodzimierz Lenin wysłał
Fofanową do Wyborskiego Ko-
mitetu Partijnego, aby uzy-
skać w KC zgodę na przenie-
sienie się do Smolnego. KC
takiej zgody nie wydał. Uzna-
no, że jeszcze jest za wcześ-
nie, aby Lenin mógł już poja-
wić się w Smolnym. Tymcza-
sem oddziały ebrojne bolsze-
wików odzyskały i obsadziły
mosty.

Lenin siedział w swojej kry-
jówce w dzielnicy wyborskiej
i denerwował się. Wiedział, że
powstanie musi zaskoczyć
Rząd Kierenskiego. Chciał po-
wiedzieć to KC, ale nie miał
jak wysłać więc ponownie
Fofanową do Smolnego, aby
uzyskała zezwolenie na jego
tam pójście. Umówił się z nią,
że jeśli ona nie powróci do
11, to on będzie miał wolną
rękę w podjęciu decyzji. Ale
nie wytrzymał do tej pory.
Decyzję podjął wcześniej. Na-
pisał cytowany list i wraz
z Rachją udał się do
Smolnego. Dotarli
bezpiecznie.

Powstanie rozpo-
częło się zgodnie
planem.



Jarmark po suwalsku

ZBIGNIEW BISKUPSKI

Rodzima egzotyka. Namietności. Minipolygon gry rynkowej
popul podaż. Sprzedać kupić pooglądać. Wiedeń, Moskwa,
Hongkong, Folklor i nowomieszczański obyczaj. Atmosfera
atmosfera raczej. Rarytas dla przybysza swojskość dla tubyl-
ca. Sroda. Sroda w Suwałkach. Dwa razy w miesiącu: zaraz po
piętnastym.

W zwyczajny dzień trafić tutaj jest dosyć trudno. Idąc z
centrum miasta trzeba przejść przez park, mijając dworzec
autobusowy skręcić w ulicę Bakalarzewska mostkiem na Czarn-
nej Hańcy dojść do cementarza i rozwidlenia ulic. Pierwsza —
prosto — wiedzie w kierunku rogatki od Olecka. Druga, w
którą skręcić należy, uzbrojona jest w drogowską: Filipów—28
Goldap — 63”. Dalsza droga jest już mniej skomplikowana. Te-
raz chodnikiem ulicy, którą na pamiętkę wyzwolenia miasto
ochrzczono mianem 23 Października idziemy prosto. Cały czas,
jeszcze jakiś kilometr. Po prawej stronie powinna stać budka
spółwca, a zaraz za nią polna rozjeżdżona droga, która we-
dzie na jarmarczny plac.

Jeśli to nie jest sroda, trzeba dobrze uważać, by nie minąć
jej nie hecy. Jest niepozorna, nijaka, iedzie donikąd. Bo jak
inaczej nazwać kilkunastohektarowy błotnisty plac pusty i sza-
ry, ogrodzony nieokorowanymi drągami tu i ówdzie polamanymi?

Co innego w handlowa srode. Wystarczy wówczas w dowol-
nym punkcie miasta pódcać się ludzkiemu strumykowi, który z
pewnością wpadnie w ciżbę ulic Bakalarzewskiej i 23 Paź-
dziernika i tym sposobem niemal doniesie dopcha na miejsce.
Tyle że plac jest nie do poznania. Hen po horyzont, jak dale-
ko tylko okiem sięgnąć kolorowy tłum gwar, hałas, rweste
nieledwie. Ulica zamieniona w gigantyczny parking, a sznur
samochodów najprzeróżniejszych marek i rejestracji
przepycha się z ludzkim mrowiem, które wylotowa
było nie było, szose zamieniając w kolosalny deptak.

Scisk potęguje się na jarmarczny placu. Stragany
przenośne kramy czy zwyczajny „handelek” z worki

Foto: Roman Lysionek

Rozliczenia

Przeżywamy chyba najtrudniejszy okres w naszych dziejach. Kryzys dotknął niemal wszystkich dziedzin naszego życia. Jest to kryzys zaufania, kryzys moralności, kryzys polityczny, kryzys działalności społecznej, wreszcie kryzys gospodarczy, który dotyka wszystkich i jest najboleśniej odczuwany. Nie chcę przypominać uciążliwości dnia powszedniego. Znamy je wszyscy. Nic więc dziwnego, że ludzie domagają się — z uporem i konsekwencją — rozliczenia tych, których działalność polityczna i społeczna doprowadziła do tak głębokiego kryzysu.

Już od dawna na wielu zebraniach partyjnych, na spotkaniach różnego rodzaju, w dyskusjach często poświęconych zupełnie innym sprawom, z uporem wracała ciągle ta sama sprawa — rozliczenie tych, którzy swoją działalnością przyczynili się do tak trudnej sytuacji nas wszystkich. Stosunek do tych żądań był bardzo różny. Często w wypowiedziach polityków można było zauważyć, że różnią się oni stosunkiem do szeroko rozumianej odpowiedzialności osób obwinianych przez społeczeństwo za tak głęboko i ciężko przeżywany kryzys. Mimo tych różnic w traktowaniu sprawy rozliczeń ludzie stali uparcie na jednym stanowisku — musi być określony stopień odpowiedzialności i ciężar winy. Również w toczącej się obecnie kampanii sprawozdawczej w partii sprawa ta tak właśnie jest stawiana.

Przed kilku dniami, z okazji odbywającej się kolejnej sesji sejmowej, grupa posłów skierowała do marszałka Sejmu PRL wniosek o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej 4 osób. Są to: były premier Piotr Jaroszewicz oraz byli wicepremierzy — Tadeusz Wrzaszczyk, Jan Szydłak i Tadeusz Pyka. Jednocześnie posłowie zwrócili się do Sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej o rozważenie stopnia odpowiedzialności Edwarda Gierka i Edwarda Babuicha.

Nie będzie to sprawa łatwa. Po pierwsze — dlatego, że prawo nie może u nas działać wstecz, choć trzeba przyznać, że w czasach, kiedy Piotr Jaroszewicz był premierem takie przypadki zdarzały się. Powołanie Trybunału Stanu odbyło się już po okresie, kiedy osoby wymienione we wniosku grupy posłów zaprzęły pełnienia swoich funkcji państwowych. Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej będzie więc musiała przeprowadzić śledztwo, określić precyzyjnie zarzuty, przesłuchać świadków,

zapoznać się z argumentami obrony — osoby postawione w stan oskarżenia mogą wziąć sobie adwokatów — a następnie sformułować wnioski, które będzie musiał zatwierdzić Sejm PRL. Mogą to być dwa wnioski. Jeden — postawić wymienione osoby w stan oskarżenia i wtedy sprawą zajmuje się Trybunał Stanu. Drugi — umorzyć sprawę wobec braku dostatecznych dowodów lub z innych formalno-prawnych powodów. Sejm PRL każdy z takich wniosków może przyjąć lub odrzucić tylko w drodze głosowania.

Po drugie — jeśli nawet Sejmowa Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej uzna, że wymienione we wniosku posłów osoby winne są naruszenia podstawowych zasad społeczno-gospodarczej polityki państwa i Sejm PRL przyjmie ten wniosek, a ich sprawa znajdzie się w gestii Trybunału Stanu, to nawet wówczas, jeśli Trybunał Stanu ustali stopień winy, nie będzie mógł wymierzyć im żadnej konkretnej kary. Jednakże sam ten fakt — uznanie przez Trybunał Stanu winy i odpowiedzialności — będzie miał ogromne znaczenie moralno-polityczne. Będzie to przestroga dla wszystkich. Będzie miało to ogromne znaczenie dla tych, którzy podejmują i będą podejmowali decyzje o ważnym dla społeczeństwa i państwa charakterze. Powinni podejmować takie decyzje, aby działały one na korzyść społeczeństwa i państwa, a nie obracały się przeciw nim. Takiego zakończenia rozliczeń — jeśli sprawa znajdzie się przed Trybunałem Stanu i uzna on winę osób przed tym Trybunałem postawionych — nie można lekceważyć.

Czy to wszystkich zadowolili? Nie mam złudzeń. Nie przesądzać dalszego biegu wydarzeń, mogą założyć, że każde rozwiązanie wywoła spore niezadowolenia. Mamy bowiem w wielu wypadkach do czynienia ze zbyt uproszczonym pojmowaniem działania prawa. Jeśli jest stwierdzona wina, to musi być określona kara. Nie bierze się często pod uwagę, że zarówno sposób określania winy, jak i sposób wymierzania kary nie może narzucać obowiązujących w PRL praw, przepisów i kodeksów. Niektóre nieprawidłowości brały się właśnie z nieposzanowania prawa i przepisów. Ale też i naprawianie tego stanu nie może się odbywać poprzez łamanie prawa, poprzez nieflexionowanie się z prawem. Możemy to prawo doskonalić. Możemy domagać się — i powinniśmy — konsekwentnego jego stosowania, przestrzegania, ale musimy to prawo, przez nas stanowione, szanować. Musimy domagać się, aby wszyscy byli wobec tego prawa równi. I musimy tego pilnować. Nazywa się to praworządnością.

Rozumiem, że konsekwentnewołanie o rozliczenia bierze się z poczucia naruszenia sprawiedliwości społecznej. Ma to kapitalne znaczenie dla odbudowy naszej świadomości społecznej, dla przywrócenia tegoż poczucia sprawiedliwości. Ale proces ten — wcale nie twierdząc, że łatwy i prosty — musi opierać się na pełnym działaniu zgodnie z prawem.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PERSPEKTYWA ROZWIĄZANIA PROBLEMÓW GOSPODARCZYCH

X Plenum KC rozpoczęło obrady oddaniem hołdu pamięci wybitnego przywódcy ruchu robotniczego, współorganizatora PPR, sekretarza generalnego PPR i I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki „Wiesława”.

Tematem posiedzenia były węzłowe problemy społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, w tym zwłaszcza zadań związanych z przezwyciężeniem kryzysu.

Dwudniowa, bogata w różnorodne treści dyskusja toczyła się wokół referatu Biura Politycznego KC (referent — sekretarz KC Manfred Gorywoda) oraz kilku przedłożonych pod obrady dokumentów. Były to: ocena sytuacji gospodarczej w okresie styczeń — sierpień 1982; warianty koncepcji NPSG do 1985 r.; wstępne założenia planu na lata 1986—90; założenia rozwoju przemysłu węglowego na lata 1982—85 i do r. 1990; założenia programowe polityki morskiej państwa, stan, perspektywy i warunki rozwoju gospodarki morskiej, opinie komisji problemowych KC o koncepcji NPSG do 1985 r. i wstępnych założeniach na lata 1986—90; informacje o przebiegu konsultacji partyjnej na temat wstępnych wariantów koncepcji NPSG.

W toku dyskusji kontrowersje wywołało wystąpienie Zbigniewa Kameckiego, profesora SGPiS w Warszawie. Cytujemy za „Trybuną Ludu”:

„Prof. Kamecki, nawiązując do idei porozumienia społecznego podważył zasadność i obiektywizm przeglądów i weryfikacji kadrowych dokonanych w środowiskach dziennikarskim i akademickim oraz dał wyraz zaniepokojeniu, czy polityka partii dostatecznie sprzyja przyciąganiu ludzi, którzy mogliby do porozumienia tego dołączyć. Replikował mu kolejno: Franciszek Bańko i sekretarz KW w KWK „Barbara — Chorzów” przypominając, że porozumienie ma swoje polityczne granice, profesor Eugeniusz Duraczyński, kierownik Wydziału Nauki KC, stwierdzając, że przeglądy kadr akademickich są zgodne z ustawą o szkolnictwie wyższym oraz Kartą Nauczyciela i w niczym nie zawężają oferty partyjnego zaufania wobec ludzi nauki, rolnik ze wsi Cefki woj. wrocławskie, Artur Kwiatkowski, który dał wyraz swemu oburzeniu na ton wypowiedzi tow. Kameckiego. Po uściśleniu przez tow. Kameckiego, że miał na myśli tylko środowisko dziennikarskie, członek Biura Politycznego, minister Spraw Zagranicznych, były sekretarz KC Stefan Olszowski stwierdził, że łącznie weryfikacji kadr dziennikarskich z odwetem jest pomówieniem, zaś sekretarz KC Zbigniew Michalek zwrócił tow. Kameckiemu uwagę, że niedopuszczalne jest powoływanie się na I sekretarza KC wtedy, gdy kwestionuje się stanowisko KC.”

UCHWAŁY

W wyniku głosowania plenum przyjęło uchwały:

● W sprawie zadań instancji i organizacji partyjnych w rozwiązywaniu węzłowych problemów społeczno-gospodarczego rozwoju kraju

● W sprawie gospodarki paliwowo-energetycznej

● W sprawie polityki morskiej państwa i zadań w tej dziedzinie, oraz stanowisko Komitetu Centralnego PZPR w sprawie odrodzenia związków zawodowych.

W części obrad dotyczącej spraw organizacyjnych I sekretarz KC Wojciech Jaruzelski w imieniu Biura Politycznego zaproponował wybranie w skład KC zastępcy członka KC, przewodniczącego Zarządu Krajowego Związku Młodzieży Wiejskiej — Waldemara Świrgonia oraz powołanie go na sekretarza KC. Równocześnie W. Jaruzelski zaproponował powołanie na zastępcę członka KC Jerzego Jaskiernię — przewodniczącego Zarządu ZSMP. Kandydatury zostały zaakceptowane.

Następnie I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR Wojciech Jaruzelski wygłosił przemówienie.

„KOŁO HISTORII SIĘ NIE COFA”

Ze stenogramu końcowego przemówienia W. Jaruzelskiego na X Plenum KC PZPR przytaczamy fragment, dotyczący międzynarodowych uwarunkowań sytuacji naszego kraju:

„Sojalistyczna Polska znajduje się w ogniu szczególnie ostrego ataku kół imperialistycznych. Stany Zjednoczone, siły reakcyjne w niektórych krajach Zachodu, ze szczególną zapaścią reagują na to, że taka gratka jak upadek socjalistycznego państwa polskiego uciekła im w ostatniej chwili, że zostały sparaliżowane ich rachuby, że nie udało się uczynić z Polski „konia trojańskiego”.

Koło historii się nie cofa. Co więc zostaje obok sankcji? Zostaje rynek propagandowy. Zostaje współczesna „Targowica” — ludzie siędzący na garnuszku obcych ośrodków i wywiadów, nakłaniający swych mocodawców do sankcji wobec własnego kraju. Doradzają — jak można jeszcze przysporzyć trudności krajowi, własnemu społeczeństwu. Niestety, takich sufferów hanielnej sprawy mamy i w Polsce. Przyjdzie czas na ujawnienie ich oblicza.

Prezydent Reagan podjął dziś ostateczną decyzję o zawieszeniu klauzuli największego uprzywilejowania. Spodziewaliśmy się tego, był to już tylko akt formalny. Polska nie jest jednak stanem Texas. Polska nie da się zamknąć jak Indianie w rezerwacie, będzie zawsze otwarta na świat. Jednakże w powstałej sytuacji ograniczymy amerykańską aktywność na terenie Polski”.

DZIEŃ PAMIĘCI

Na cmentarzach wszystkich wyznań w całym kraju tłumy w dniu święta Zmarłych. Tradycyjnie jak co roku czynimy pamięć tych co deszli — najbliższych krewnych i przyjaciół, oddajemy hołd tym, co oddali życie za sprawę najświętszą. Wspominamy najlepszych z nas, których już między nami nie ma.

W kwiatach tonęła brama wejściowa do katowni na Pawlaku w Warszawie, gdzie w czasie II wojny światowej okupanci wzięli ponad 100 tys. patriotów. Na Cmentarzu Wojskowym w stolicy płoną znicze przy mauzoleum Bolesława Bieruta i przy grobie Władysława Gomułki. W kwiatach płyty nagrobne Władysława Broniewskiego, Konstantego Hildefonsa Gałczyńskiego, Juliana Tuwima, Andrzeja Struga.

Cmentarz Żydowski w Warszawie to miejsce mogiły — symbolu poświęconej pamięci „starego doktora” — Janusza Korczaka — człowieka, który wierny swoim humanistycznym ideałom i konsekwentny we wcielaniu w życie swych koncepcji pedagogicznych wybrał dobrowolną śmierć wraz z grupą wychowanków.

Również łodzinie pamiętali nie tylko o grobach swych krewnych i przyjaciół. Zapalono znicze i składano kwiaty na żołnierskich mogiłach, w miejscach pamięci narodowej, Honorowe warty zaciągali żołnierze i harcerze. Kwiaty złożono m.in. przy Mauzoleum w Radogoszczu, przed Grobem Nieznanego Żołnierza, Pomnikiem Braterstwa Broni, przed Pomnikiem Martyrologii Dzieci.

Przeгляд prasy

JÓZEF WISSARIONOWICZ DŻUGASZWILI

powszechnie znany jako Józef Stalin, odegrał w dziejach ZSRR i w dziejach świata rolę decydującą. Potępiony przez czas za kult jednostki i wiele wypaczeń w budownictwie socjalizmu i niemal wymazany z historii, dziś nadal budzi zainteresowanie nie tylko historyków. Nie ulega wątpliwości, że był postacią nieprzeciętną, ale nie pozbawioną wad. Popenił wiele błędów, a stworzony przez niego system sprawowania władzy błędy te zwielokrotnił. System ten nazwano stalinizmem, a historia musi odpowiedzieć na liczne pytania dotyczące oceny tego systemu. Przede wszystkim na pytanie podstawowe: na ile ukształtowanie się tego systemu wynikało z obiektywnych warunków, jak choćby z faktu, że Związek Radziecki był jedynym krajem socjalistycznym w ówczesnym świecie kapitalistycznym, a na ile z osobistych cech charakteru i umysłowości Józefa Stalina? Trzeba pamiętać, że już w 1923 roku Włodzimierz Lenin w „Liście do zjazdu” domagał się odsunięcia Józefa Stalina od władzy, obawiając się, że nie będzie on miał korzystać z niej w należyty sposób.

Trzeba czasu i poznania wielu dokumentów, aby móc rzetelnie i obiektywnie odpowiedzieć na wszelkie pytania. O Józefie Stalinie napisano wiele książek, artykułów, powieści. Często z pozycji wrogich socjalizmowi, wyolbrzymiając jego wady i błędy, czyniąc z nich broń przeciw socjalizmowi. Pisze się o nim również z innych pozycji, starając się obiektywnie ocenić tę historyczną postać i rolę, jaką Józef Stalin odegrał w najnowszych dziejach. Taki trud podjął na łamach „PANORAMY” (nr 33 z 17 października 1982 r.) Antoni Czubiński. Zamyśl jego jest znacznie szerszy. Autor zamierza przedstawić architektów ładu jałtańsko-poczdamskiego: Józefa Stalina, Franklina D. Roosevelta i Winstona Churchilla. Jako pierwszego A. Czubiński prezentuje J. Stalina. Dlaczego właśnie tak? Dlatego, że był on jedynym przywódcą państwowym, który od poczętku

do końca uczestniczył w Wielkiej Koalicji. Pamiętajmy, że po śmierci F. D. Roosevelta (12 kwietnia 1945 r.) jego miejsce zajął H. Truman, a po wyborach w Wielkiej Brytanii (27 lipca 1945 r.) miejsce W. Churchilla zajął C. R. Attlee. Dawało to J. Stalinowi znaczną przewagę nad pozostałymi politykami koalicji, którzy mieli już inne nastawienie do komunistycznego sojusznika, ale skrepowani byli zobowiązaniami i polityką poprzedników. Przewagę dawały też J. Stalinowi zwycięstwa Armii Czerwonej, która wywalała Europę, ponosiła cały ciężar walki z wojskami III Rzeszy, gromiła faszystów, cierpliwie czekając na otwarcie drugiego frontu w Europie. Stało się to dopiero 6 czerwca 1944 roku.

„Stalin dysponował dobrymi informacjami wywiadu radzieckiego — pisze A. Czubiński — i wielokrotnie uprzedzał poczynania przywódców Anglii i USA. Obszar leżący w pasie działania Armii Czerwonej traktował jako obszar kontrolowany przez ZSRR i sojuszników w zasadzie nie dopuszczał nawet na ten teren. Rezerwował sobie też prawo kształtowania stosunków politycznych leżących w tej strefie. Sojusznicy wyrażali zdziwienie, ale w konsekwencji godzili się z faktami dokonany, ponieważ w dalszym ciągu zabiegali o współpracę z ZSRR”.

Jako przykład takiego postępowania A. Czubiński przytacza „sprawę polską”. Mimo nalegań sojuszników J. Stalin nie zgodził się na nawiazanie stosunków z rządem emigracyjnym, udzielając zdecydowanego poparcia dla polskiej lewicy. Dopiero po powstaniu Rządu Tymczasowego i po uznaniu przez St. Mikołajczyka tzw. linii Curzona (granicy wschodniej na Bugu) zgodził się na rozmowy z rządem emigracyjnym, prowadzone zresztą przez przedstawicieli władz z Polski. Na nie zdały się sprzeciwy Anglików.

Ludzie uczestniczący w polityce, stykający się z polityką i politykami nieustannie budzą naszą ciekawość. Wiadomo, że nie wszystko, co dzieje się w polityce dociera do wszystkich

POLITYKA MA SWOJE PRAWA

a politycy swoje tajemnice. Zdradzają je po latach pisząc wspomnienia lub tajemnice te ujawnia się publikując tajne kiedyś dokumenty, wspomnienia innych. Włodzimierz Sokorski ma już — jak się od tego przyznaje — 75 lat i uczestniczył w polityce jeszcze od przed wojny. Uważa się za polityka wszechstronnego. Rozmowę na temat jego udziału w polityce przeprowadził z W. Sokorskim przedstawiciel „FAKTÓW” (nr 32 z 23 października 1982 r.)

Marceli Bacciarelli. Oto, co powiedział Włodzimierz Sokorski na temat swego udziału w polityce:

„...mam już 75 lat i jestem ciągle aktywny w polityce. To znaczy, że ja w każdym okresie potrafiłem znaleźć swoje miejsce, gdyż na ogół umiałem przewidywać zmiany, jakie muszą zajść, umiałem analizować zjawiska i przechodziłem do następnego etapu jako ten, który go przewidział. Sądzę właśnie, że ta moja ciekawość życia w każdej dziedzinie: w literaturze, w sztuce, w miłości, a przede wszystkim w polityce, dała mi możliwość bycia człowiekiem barwnym. Człowiekiem, który jest wrażliwy na różne bodźce. Sprawa miłości nie należy traktować wyłącznie erotycznie. Miłość dawała mi kontakt z normalnymi ludźmi. Nawet, gdy byłem ministrem, w ten sposób nie odrywałem się od ludzi”.

Można to też nazwać sztuką życia. Nie każdy to jednak potrafi.

W wypowiedziach Włodzimierza Sokorskiego jest też inna myśl godna uwagi i zastanowienia. Oto ona: „Człowiek partii musi umieć wybierać w celach partii te cele, z którymi może się utożsamiać. Musi pozostać zawsze w zgodzie ze sobą. To jest korzystanie z polityki, branie z niej — korzystanie nieraz dramatyczne i tragiczne”.

Włodzimierz Sokorski przypomina, że wstępował do innej partii „niż ta, w której dzisiaj jestem”. Zmienił się on, zmieniła się i partia — „stał się przy ruchu Komunistycznym drugiej połowy dwudziestego wieku”, a on w tym ruchu znajduje swoje miejsce. Nie wiem, czy Włodzimierz Sokorski nie jest w tych stwierdzeniach zbyt optymistą i czy przypadkiem dokonującego się procesu nie traktuje jako procesu już dokonanego. Ja w każdym razie takiego sformułowania nie wypowiedziałbym w czasie przeszłym.

Rozumiem, że czasem trudno jest uchwycić ten szczególny moment, kiedy proces już się dokonał, kiedy ilość przeszła w jakość. Rozumiem też, że często ważny jest sam fakt dostrzeżenia procesu. Tak dzieje się z ludźmi, tak dzieje się ze społeczeństwem. I tak dzieje się z... miastami. Oto też same „FAKTY” zamieściły

PAMFLET NA BYDGOSZCZ

pióra Krystyny Starczak-Kozłowskiej pod znamiennym tytułem: „Skazana na przeciętność”. Co autorka zarzuca Bydgoszczy? Ze jest miastem trudnym, spokojnym, że cierpi na kompleks niższości, że dostrzega swoje walory i wartości dopiero wtedy, kiedy potwierdzi i uzna je Warszawa, że jest miastem zaniębanym,

że zamiast docenić urok secesji zaczęło gonić za tanią nowoczesnością, stawiając w miejsce budynków o tradycyjnej architekturze pseudonowoczesne potworki, jak np. dworzec czy kawiarnię „Kaskada”. Polecam lekturę tego artykułu i wielu sformułowanym łodziom, znajdując tam niewątpliwie odbicie swoich prowincjonalnych kompleksów. Ciekawe, czy ten pamflet na Bydgoszcz wywoła falę listów z oburzeniem, czy też... skończy się na kawiarnianych rozmowach? Ano, zobaczymy.

Sięgnąłem też do jednego w Łodzi pisma zakładowego, do biuletynu ŁZPB im. Obronców Pokoju „Tydzień w Unionte-xie” (nr 25 z 15 października 1982 r.) i znalazłem tam

PYTANIA SKIEROWANE DO DYREKTORA

Dowiedziałem się z odpowiedzi udzielonych przez Józefa Grzegorzycę, że załoga „Unionte-xu” ma już fundusz „13” w wysokości 102 proc. pensji i „14”, w wysokości 50 proc. pensji. Dowiedziałem się także, że na KS „Włókniarz” płaci się z funduszu socjalnego około 3 mln zł, a kiedyś 22 mln zł. Ale dalej niech mówi J. Grzegorzycę. Oto pytanie:

— „Ile zarabia Pan, panie dyrektorze, i pańscy zastępcy?”
— Od pierwszego sierpnia br. minister przemysłu chemicznego i lekkiego przyznał mi 13 tysięcy pensji zasadniczej i 5000 dodatku funkcyjnego z możliwością uzyskania 30 proc. premii, gdy przedsiębiorstwo wykona swoje zadania. Na mój wniosek zastępcy dyrektora otrzymali 11 tysięcy zasadniczej i 4 tysiące funkcyjnego. Wszyscy jednak nie mieścimy się w pierwszych dziesiątkach najlepiej zarabiających w „Unionte-xie”.

A oto inne pytanie i odpowiedź:

— „Ile osób jest odelegowanych w zakładzie do pełnienia funkcji społecznych?”

— Łącznie odelegowanych jest 12 osób, 6 do pełnienia funkcji w PZPR, 6 w ZSMP”.

Dobrze jest czasem porozmawiać z dyrektorem o różnych sprawach, o których się mówi w palarni przy papierosie, albo w czasie przerwy śniadaniowej. Pryskają mity, wyjaśniają się nieporozumienia. Dobrze też dowiedzieć się, jak stoją niektóre sprawy w jednej z największych łódzkiej fabryk przemysłu bawełnianego. A mimo to mam wątpliwość czy to dobrze, że dyrektorzy-takiego kolosa nie mieszczą się w pierwszych dziesiątkach najlepiej zarabiających w fabryce. A co pan o tym myśli, panie ministrze przemysłu chemicznego i lekkiego?

LUCJAN BOGUSZ

Dokończenie
ze strony 1

Z dziennika Aleksandra Bloka

15 października (1917)

„Dwie rozmowy telefoniczne z Z. N. Gippius (i Merezkowskim). Odmówili udziału w piśmie Sawinkowa („Czas”). Rozmowa telefoniczna z Wiengierowem (chce mnie wybrać do Funduszu Literackiego. Jakiż stary jestem)...

OD REDAKCJI: Po nieudanych puczu Kornilowa Sawinkow odszedł z rządu i próbował założyć antybolszewickie pismo „Czas”. Do współpracy z tym piśmie próbowała nakłonić Aleksandra Bloka Z. N. Gippius, zapraszając go na pierwsze zebranie zespołu redakcyjnego, a gdy odmówił, zapytała wręcz: „Czy pan nie jest przypadkiem z bolszewikami?”. Na to Aleksander Blok: „Tak jeśli chce pani wiedzieć, jestem raczej z bolszewikami!”. Rozmowę tę Z. N. Gippius opisała w pamiętniku „Żywyje lica” wydanym w 1925 roku w Pradze.

19 października (1917)

Rano mama dobrze mówiła o konieczności zakończenia wojny: trywialność słowa „hańba”. My mamy bogactwo, Zachód — umiędzynarodowienie. Tereszenko jakby śnił. Mówiła to Riemizowowi, który odmówił udziału w piśmie Sawinkowa (powiedział, że się zastanowi).

W ciągu dnia był u mnie A. N. Tichonow. Wczoraj — w Radzie Delegatów Robotniczych powstał znaczny rozłam wśród bolszewików, Zinowjew, Trocki i inni uważali, że wystąpienie 20 jest konieczne bez względu na rezultaty, ale ich zdanie o rezultatach było pesymistyczne. Jeden tylko Lenin wierzył, że zagarnięcie władzy przez demokrację rzeczywiście zlikwiduje wojnę i uporządkuje wszystko w kraju.

W ten sposób i ci, i tamci są zwolennikami wystąpienia, ale jedni z rozpaczy, a Lenin — przewidując dobre wyniki. Niektórzy sądzą, że wystąpienie nie jest potrzebne, ponieważ rozbije głosy w Konstytucji i w partii bolszewików, która jest teraz silna.

Niemcy nie mają absolutnie siły do działania na szerokim froncie — brak koni.

Robotnicy mówią: „Za tę cenę pracujemy dla burżuazyjnych pism, a dla socjalistycznego potrzebne jest 25 proc. podwyżki”.

Wystąpienie może się jednak odbyć całkiem niezależnie od bolszewików — niezależnie od nikogo — żywiołowo.

Chłopi nie dają miastu zboża w przekonaniu, że w miastach wszyscy są syty.

Do wszystkich Robotników i Włościan

Pękają żelazne okowy, kruszy się pierścień krzywdy i przemocy, który opasywał i dawał lud. Ster losów świata wypada z osłabłych dłoni imperialistycznej reakcji. Nadchodzi dzień surowej zapłaty za nędzę, za głód, za przelaną krew. Przerazona rządząca siła zatrzymała koło historii, czyniąc ulgi i ustępstwa, ale nie może powstrzymać toczącej się już lawiny rewolucyjnej. Straszliwa wojna dopełniła miary kapitalistycznych zbrodni. Ludzkość nie może pozostawać nadal igraszką garstki fabrykantów, bankierów i spekulantów giełdowych. Prawo do socjalizmu zostało kupione kosztem śmierci i łez milionów.

W historycznej chwili przełomu musi zabrać głos klasa robotnicza Polski. Wypowiadamy wojnę nieubłaganą wyzyskowi kapitalistycznemu — w braterskim sojuszu z proletariatem innych krajów rozpoczynamy bój o zniszczenie starego ustroju, o triumf Prawdy i Sprawiedliwości, o państwo socjalistyczne. Programem społecznym walki najbliższych Polskiej Partii Socjalistycznej będzie:

1. wywłaszczenie i upaństwowienie wielkiej własności rolnej; niech ziemia przejdzie do rąk pracujących na niej;

2. stopniowe i systematyczne upaństwowienie wielkiego przemysłu banków i handlu zewnętrznego, w pierwszym rzędzie kopalni i środków komunikacji; konfiskata zysków wojennych;

3. umiastowienie domów, by ustała wreszcie lichwa mieszkaniowa; gruntowne reformy w gospodarce wiejskiej;

4. prawną ochrona pracy ubezpieczenia społeczne, całkowita wolność strajków, wszelkie ułatwienia dla związków zawodowych, dla ruchu spółdzielczego; bezwzględne poskromienie spekulacji artykułami codziennej potrzeby.

Nie spodziewamy się niezgod od łaski niczyjej. Wysiłek własnym dźwigniemy nową Polskę wolnych ludzi. Polskę niepodległą i zjednoczoną, stworzymy socjalistyczny porządek świata; sam lud rozstrzygnie o swojej przy-

szłości, gdy władza polityczna w kraju stanie się jego udziałem.

Robotnicy! Włościanie! Na ziemi polskiej trwa jeszcze wróg! Zbrodnicze rządy pruskich i austriackich junkrów, żandarmów i satrapów nie zostały usunięte. W przepiętnych więzieniach, w obozach jeńców, w dalekich fabrykach na obczyźnie jeżą nasi bracia, niewolnicy kapitału niemieckiego i policyjnej ochrony. Rodzima reakcja nie traci nadziei, nie wyrzeka się panowania.

Zniesienie okupacji i Konstytuanta z wyborów powszechnych — to pierwsze zadanie, najpilniejszy cel rewolucyjnego proletariatu.

Zadamy, by odeszły stąd przez bandy uzbrojonych łupieżców i gniebieli!

Zadamy zaprowadzenia natychmiast swobod obywatelskich, wolności prasy, zgromadzeń, stowarzyszeń!

Zadamy, by zwolano jak najprędzej Konstytuanta jednoizbową z powszechnych bez różnicy pici, równych, tajnych, bezpośrednich i proporcjonalnych wyborów!

Zadamy uwolnienia wszystkich aresztowanych, powrotu robotników więzionych w fabrykach i na robotach rolnych w Niemczech!

Zadamy demokratyzacji samorządu w mieście i na wsi!

Robotnicy! Włościanie! Wszyscy, którzy pracują, których nęka głód, dławią wyzysk i przemoc wroga! W rozpoczynającej się walce pomiędzy dawnym i nowym ładem możecie stracić tylko kajdany, a przed Wami świat do zdobycia! Z czynu Waszego, z rewolucji ludowej, ze zwycięstwa demokracji wyrosnie niepodległa i zjednoczona Republika Polska! Czyn Wasz będzie twórcą dziejów! Wola Wasza obali Radę Regencyjną, bierne narzędzie w rękach okupantów, smutne świadectwo niedołęstwa, tchórzostwa i zaprzastwa naszych klas posiadających.

Niech ginie świat reakcji i ugody! Wybija godzina ludów!

Robotnicy! Włościanie! W przededniu szczęśliwszych lat, w przededniu walk i zwycięstw wyzywamy Was wszystkich pod czerwone sztandary Socjalizmu.

Za wolność, za demokrację, za wyzwolenie pracującego człowieka, za niepodległość i zjednoczenie Polski, za ustroj socjalistyczny!

Do walki! Do zwycięstwa!

Niech żyje Socjalizm!

Niech żyje niepodległa i zjednoczona Republika Ludowa!

Niech żyje Rewolucja!

Centralny Komitet Robotniczy
Polskiej Partii Socjalistycznej

Warszawa, 14 października 1918 r.

Rewolucja Proletariacka w Rosji

Robotnicy! Robotnicy!

Niesłychane, poronujące wiadomości dobiegają nas z Rosji! W Petersburgu zwyciężyła klasa robotnicza! Rząd burżuazyjny zmierzony, dyktatura proletariatu stała się faktem!

Wybija godzina zemsty za trzydziestą rzeź milionów, za straszliwy ciąg krwawych zbrodni kapitalizmu. Od trzech lat z górą zorganizowane bandy, zwane rządami państw kapitalistycznych, pedzą masy robotnicze różnych krajów do walki bratobójczej. Od trzech lat z górą międzynarodowy kapitał z krwi ludzkiej zgarzania niesłychane zyski wojenne.

Proletariat budził się powoli do walki z tą orgią międzynarodowego kapitału. Już w rewolucji marcowej bohaterki proletariatu rosyjski usiłował dać hasło do międzynarodowego powstania klasy robotniczej. I w ślad za nim już ciągnęły krociove strajki robotników niemieckich i angielskich, walki barykadowe robotników włoskich, burzliwe odruchy proletariatu innych krajów. I my, robotnicy polscy, nie pozostaliśmy w tyle, targając niezłomną ręką lancuch, którym nas skłui zbiry okupacyjne!

Ale do tej chwili jeszcze dawała ruch proletariacki przemoc i zdrada. Działo maszynowe i strzyżek, krata więzienna i gazeta socjalpatriotyczna — oto były sposoby tłumienia ruchu ludowego, przedłużania wojny w nieskończoność!

Przepiętna się jednak czara! Hasło do boju znowu wychodzi z szeregów proletariatu rosyjskiego. Robotnicy nie chcieli dłużej znosić panowania kilku Kiereńskich i Kornikowów! Proletariat rosyjski zmógł agentów koalicyj, którzy do jego rąk się uciekli dla obalenia caratu, aby mu potem skraść owoc zwycięstwa, zrabować wolność! Przez pół roku rządów burżuazyjno-rewolucyjnych proletariatu nie doczekał się chleba i pokoju. Dziś bierze je sobie sam dzisiaj zwycięzcy.

Ale nie tylko o pokój i chleb dziś chodzi! Z pola walki, od dymiących krwawych pobojowisk robotnicy nie powrócą pokornie do jarzma „pokojowej” pracy, do serwilnego kałucha chleba z łaski kapitału. Robotnik dziś rozumie, że mu nie wolno zostawić władzy państwowej w krwawych rękach kapitału.

Nie wolno dłużej znosić tego ustroju! Oto czarno nas uczy rzeź świątowa.

Wyrwać z rąk burżuazji bogactwa i władzę! Na korzyść całego społeczeństwa obrócić skarby kultury i przemysłu! Zniszczyć krwawą tyranie kapitału! Stworzyć szczęśliwą ludzkość

wspólnego posiadania i wspólnej pracy!

Do tej ostatniej, decydującej walki o socjalizm torują nam drogę wypadki rosyjskie!

Chwała towarzyszom rosyjskim, którzy pierwsze te walce podejmują! Jakikolwiek będzie wynik wielkiego ich kroku — trwałe zwycięstwo czy chwilowa klęska — oni rzucili nowe hasło proletariatu całego świata. Chwała im i pozdrowienie od nas — którzyśmy od początku wspólnie z nimi mieli cele!

Robotnicy! Robotnicy! Wojna się chyli ku końcowi. Krwawe opryski Koalicyj, czy państw centralnych poczują wspólne niebezpieczeństwo i podadzą sobie ręce dla zdławienia rosyjskiej klasy robotniczej! Przeciw rewolucji dźwignie się groźnie połączony legion reakcji. Losy rewolucji rosyjskiej są w rękach międzynarodowego proletariatu!

Niechże robotnicy wszystkich krajów zrozumieją swój obowiązek solidarności! Niech i oni razem staną przeciw międzynarodowej burżuazji za proletariacką Rosją! Do walki nas wola pionunowy dzwon rewolucji rosyjskiej! Już szaleje morze buntu robotniczego, już się trzęsą węgły budowli kapitalistycznej!

Robotnicy polscy! Przed sobą mamy walkę krwawą — walkę długą może jeszcze. Ale wiemy jedno — że cel nam przyświeca jasny i wielki. Występujemy ramię w ramię z proletariatem świata całego. Nie o pokój tylko — ten nas nie ochroni od nowych zbrodni i nowej wojny. Nie o chleb tylko — ten nam da burżuazja, jak nie odmówimy paszy swemu bydłu robotniczemu. Nie o wolność tylko — to hasło jest jedynie kłamliwym frazeosem dopóki panują niesyconcy drapieżcy kapitału.

Walczymy o obalenie ustroju kapitalistycznego! Walczymy o socjalizm — o wspólną własność, o bratnie społeczeństwo, jednoczonych ludów!

Przec z wojną!
Przec z kapitalizmem!
Niech żyje rewolucja socjalna!

Zarząd Główny
Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy

Warszawa, w listopadzie 1917 r.

MARIA KOSZUTSKA
(Wera Kostrzewa)

Dyktatura rosyjskiego proletariatu

Dla klasy robotniczej socjalizm jest wszak równoznaczny z panowaniem powszechnej równości i sprawiedliwości, jest ideałem braterstwa i swobodnego, nieskrępowanego rozwoju wszystkich członków społeczeństwa. Tymczasem pierwszy już wypadek dłuższego trwania władzy proletariackiej obfituje istotnie w akty przemocy, daje cały szereg przykładów przymusu i niejednakowego traktowania członków społeczeństwa. Nasuwa się dalekie pytanie, czy przymus w dobie panowania proletariatu w ogóle jest zgodny z wywoleńczymi ideałami socjalizmu? Mieszają się przy tym zagadnienia różnego typu, wymagające oddzielnego rozpatrzenia.

Pochopność rządu bolszewickiego do stosowania siły, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o poszczególne odłamy klasy robotniczej i gdzie przemoc zastępowała oddziaływanie ideowe — były niewątpliwie błędem i do tej sprawy jeszcze powrócimy. Na razie jednak chodzi o postawienie sprawy ogólniejszej — o odpowiedź na pytanie, jakie środki może stosować w ogóle, nie tylko w obrębie własnej klasy, zwycięski proletariatu. Musimy omówić samo pojęcie dyktatury proletariatu. Co to jest dyktatura i jaka powinna być jej treść?

Teoria socjalistyczna nie daje tu gotowej odpowiedzi. Wprawdzie w dziełach twórców socjalizmu naukowego, Marksa i Engelsa oraz późniejszych teoretyków socjalistycznych, znajdują się z rzadka uwagi, które pozwalałyby

konkretniej ująć metody polityki proletariatu w dobie jego panowania, do ostatnich jednak czasów, gdy zagadnienie to było jeszcze mało aktualne, poprzestawano na ogólnikach. To zaś rozdziło i utrwalało szeroko rozpowszechnione przesądzenie, że pochwylenie przez proletariatu władzy państwowej pociąga za sobą niemal bezpośrednio socjalizm, a zatem urzeczywistnienie wszystkich jego ideałów i oparcie stosunków ludzkich na zasadach pokojowego współżycia. Im bardziej jednak zbliżamy się do okresu decydujących walk społecznych, tym dokładniej zdajemy sobie sprawę, że tak nie jest, że urzeczywistnienie socjalizmu i stworzenie nowego ustroju społecznego musi wypełnić cały okres ciężkich walk proletariatu. Trwanie jego zależy od wielu czynników — od siły i dojrzałości proletariatu, od oporu stawianego przez wrogów socjalizmu. Przewrót socjalistyczny nie jest więc aktem, czymś jednorazowym, lecz szeregiem walk wypełniających cały okres w dziejach społeczeństwa.

I dlatego to, ująwszy władzę w ręce, proletariatu rosyjski nie może zburzyć natychmiast organizacji państwowej jako organizacji panowania jednej klasy nad innymi. Pozbawiliby się bowiem najważniejszego narzędzia tworzenia ustroju socjalistycznego, który może powstać jedynie jako narzucenie przy pomocy środków przymusu — woli klasy robotniczej innym klasom. W walce społecznej bowiem rozstrzygają i skutkują nie namowy w celu przekształcenia przeciwników klasowych, lecz siła — w danym wypadku potęga zorganizowanego, świadomego swych celów i panującego proletariatu. Opór przeciwników społecznych musi być łamany, o ile nie skutkują inne środki. Uczą tego i dzieje rewolucji burżuazyjnych, np. angielskiej w połowie XVII w. i francuskiej w końcu XVIII w., gdy żywioły mieszczańskie nie cofały się przed żadnymi środkami w celu utrwalenia władzy i nie zważały na żałość i oskarżenia ze strony dawnych władców świata średniowieczno-feudalnego. (...)

Wszystko to czyni proletariatu rosyjski *wbrew woli, przy zawziętym oporze i rozlicznych przeszkodach stawianych przez burżuazję*, która nie chce pozbyć się dobrowolnie swego uprzywilejowanego stanowiska.

Dlatego to okres dyktatury proletariatu nie jest jeszcze, jak sądzą niektórzy, organizacją życia na zasadach wszechludzkiej harmonii i zgody, ale jest, przeciwnie, okresem najzawziętszej wojny klas, z których każda chce siłą przeprowadzić swoje dążenia. Wszelkie tedy sielankowe wyobrażenia o dyktaturze są złudzeniem i muszą być rozwiane przez rzeczywistość. Rzeczywistość ta z łatwością przynosi rozczarowanie wielu nawet szczerym idealistom, którzy widzą w socjalizmie tylko jego szczytne hasła braterstwa i zrównania wszystkich ludzi, a nie widzą przejściowych wprowadzeń, ale twardej i okrutnych konieczności walki. Kto jednakże nie chce być zepchnięty z wielkiej drogi walki o lepszą przyszłość, musi wnikać w głąb rzeczy i rozumieć, *treść i istotę* odbywających się przewrotów, nie zaś tylko zewnętrzne, towarzyszące im objawy. (...)

Wszystko to, co powiedzieliśmy o konieczności stosowania przymusu w dobie dyktatury proletariatu, nie wyjaśnia jednak jeszcze kwestii samego stosunku proletariatu do ideałów demokracji. Bo przecież chodzi nie tylko o to, jak walczyć i jakimi środkami posługiwać się w walce, ale chodzi o sam jej cel, chodzi o odpowiedź na pytanie, jakie to mianowicie mają być nowe urządzenia, nowe formy wprowadzane na miejsce tych, które zostają siłą złamane i zniszczone.

Demokracja, powszechne równouprawnienie i jako jej wyraz — jednakowe prawo wszystkich obywateli do udziału w życiu politycznym, poszanowanie woli reprezentacji ludności i oparcie tej reprezentacji na jak najszerszych podstawach, zniesienie wszelkich przywilejów w sensie jakiegokolwiek przewagi prawnej jednych obywateli nad drugimi — to były przecież postulaty stanowiące składową część programu socjalistycznego. Umieścimy go na pamięć — my, socjaliści, uczyniliśmy go się jak dzieci pacierza. W każdym kole robotniczym omawialiśmy szczerze tego programu, poznawaliśmy sposoby wcielania go w życie i zabezpieczenia się przed pogwałceniem go. (...)

(Fragmenty IV rozdziału obszerniej pracy, zatytułowanej „Rewolucja rosyjska a proletariatu międzynarodowy”. Tytuł IV rozdziału — „Dyktatura proletariatu rosyjskiego a demokracja”. Całość drukował „Głos Robotniczy”, pismo PPS-Lewicy, wychodzące w Warszawie, w czterech kolejnych numerach (55—59) w sierpniu 1918 r.)



Wojna przeciwko Polsce z jesieni 1939 r., przerodziła się w wojnę o charakterze powszechnym, groźną, nieobliczalnymi konsekwencjami dla narodów świata. Zagrożenie jakie niesi z sobą faszyzm zmobilizowało przede wszystkim przywódców rządów państw dotkniętych bezpośrednio lub pośrednio agresją istotną potrzebę stworzenia koncepcji szerokiej współpracy międzynarodowej, która w pierwszej kolejności doprowadziłaby do pokonania tego zagrożenia, a następnie do powołania systemu instytucjonalnego zabezpieczenia międzynarodowego pokoju. Konieczność takiego współdziałania przeciwko faszyzmowi akcentował 3 lipca 1941 r., w przemówieniu do narodu radzieckiego Józef Stalin, mówiąc:

„W tej wojnie wywołanej nie będziemy osamotnieni. W tej wielkiej wojnie będziemy mieli wiernych sojuszników — narody Europy i Ameryki... Będzie to jednolity front narodów walczących o wolność przeciwko ujarzmieniu i groźbie ujarznienia przez faszystowskie armie Hitlera. Na tym tle historyczne przemówienie premiera Wielkiej Brytanii p. Churchilla o pomocy dla Związku Radzieckiego oraz deklaracja rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki o gotowości udzielenia pomocy naszemu krajowi są całkowicie zrozumiałe i znajomienne”.

W sierpniu 1941 r., świat dowiedział się o podpisaniu przez przywódców Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii deklaracji, zwanej potocznie „Karta Atlantycka”, będącą wykładnią wspólnego programu na czas wojny i organizacji powojennego świata. Przy całej swej enigmatyczności sformułowań zawierała jednak „Karta Atlantycka” szereg istotnych fragmentów, które odegrały ważną rolę w procesie budowania sojuszu Narodów Zjednoczonych i rozwiązywania spraw powojennych. W zachodniej nauce prawa międzynarodowego „Karta Atlantycka” uznana jest za pierwszą enuncjacje oficjalną na temat potrzeby utworzenia po zakończeniu wojny międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa.

W niespełna sześć tygodni od podpisania „Karty Atlantyckiej”, 29 września 1941 r. na Konferencji Miedzyspojszyszej w Londynie przystąpiła do niej grupa państw, a wśród nich: Związek Radziecki, Czechosłowacja, Jugosławia i Polska. Wkrótce sformułowane tam ogólne postulaty przedłożenia współpracy państw koalicji antyfaszystowskiej, również na okres powojenny, przyjęły postać bardziej skonkretyzowaną. W podpisanej 4 grudnia 1941 roku, deklaracji rządu Rzeczypospolitej Polskiej i rządu ZSRR, tzw. deklaracji Sikorski — Stalin, po raz pierwszy w sposób oficjalny wystąpiono z koncepcją zagwarantowania w przyszłości trwałego pokoju poprzez powołanie, w miejsce istniejącej jeszcze formalnie Ligi Narodów, nowej, efektywnej już międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa. Punkt 3 deklaracji głosił:

„Po zwycięskiej wojnie (...) zadaniem państw sojuszników będzie zabezpieczenie trwałego i sprawiedliwego pokoju. Może to być osiągnięte jedynie przez nową ORGANIZACJĘ stosunków międzynarodowych, opartą na zjednoczeniu demokratycznych krajów w trwałym sojuszu. Przy utworzeniu takiej organizacji czynnikiem decydującym winno być poszanowanie prawa międzynarodowego, poparte zbiorową siłą zbrojną wszystkich państw sojuszników”.

W ocenach historyków radzieckich i polskich cytowany fragment z deklaracji Sikorski — Stalin jest traktowany jako „pierwsze ze strony państwa koalicji antyfaszystowskiej oficjalne zgłoszenie... potrzeby realizacji w powojennym świecie zasad zbiorowego bezpieczeństwa drogą instytucjonalizowanej współpracy” tj. powołania międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa. Nie przesądzając, czy polsko-radziecki postulat był „skonkretyzowaniem i rozwinięciem bardzo ogólnikowych sformułowań Karty Atlantyckiej, czy też koncepcją na wskroś oryginalną”, należy stwierdzić, iż bez wątpienia wywarł on bardzo poważny wpływ na rokowania

międzynarodowe prowadzące do powstania ONZ.

Bardzo istotnym etapem wypracowania platformy współpracy Narodów Zjednoczonych była moskiewska konferencja ministrów spraw zagranicznych (19—30.X. 1943 r.). Jeden z jej dokumentów końcowych — „Deklaracja Czterech Mocarstw” dotycząca powszechnego bezpieczeństwa — zawierała oświadczenie, że przyszła organizacja międzynarodowa winna być oparta „na zasadzie RÓWNOŚCI SUWERENNEJ wszystkich milujących pokój państw” i winna być „dotępna dla wszystkich takich państw, WIELKICH czy MAŁYCH”. Było to — trzeba podkreślić — pierwsze w historii stosunków międzynarodowych tego rodzaju

PAWEŁ CHMIELEWSKI

Walka o miejsce Polski wśród założycieli ONZ

ju sformułowania, w praktyce stwierdzające zasadę równości państw bez względu na ich znaczenie polityczne i gospodarcze.

W toku dalszych prac przygotowawczych do powstania organizacji, zarysowana wyżej koncepcja postulująca utrzymanie równości uprawnień i zobowiązań wszystkich członków NZ w zakresie ich odpowiedzialności za utrzymanie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa ulegała nowej tendencji zagwarantowania w Karcie Narodów Zjednoczonych dominującego znaczenia wielkich mocarstw, co wynikało — rzecz jasna — z ich faktycznej roli w czasie II wojny światowej. Takie stanowisko — wydaje się — musiało zostać zaakceptowane, jeżeli miałyby w ogóle powstać ONZ.

Wniosek ten ma istotne znaczenie dla naszych rozważań. Bez względu bowiem na wysiłki zbrojne państw Europy środkowej i południowo-wschodniej (Polska, Czechosłowacja, Jugosławia), bez względu na ogromne straty wojenne w ludziach i na zniszczenia materialne, jakie te państwa poniosły — a wśród nich Polska — faktem jest, że ostateczne rozegranie wojny zostało dokonane przez Wielkie Mocarstwa, w tym Związek Radziecki.

Dalsze prace szczegółowe nad strukturą i statutem nowej Organizacji toczyły się wyłącznie w gronie Wielkich Mocarstw (konferencje w Dumbarton Oaks i w Jałcie). W toku tych spotkań ustalono również termin zwołania konferencji Narodów Zjednoczonych do San Francisco, w istocie będącej konferencją założycielską ONZ. Sprawa udziału Polski w tej

konferencji stanowi oddzielną kartę w genezie Organizacji. Wiosną 1945 r. Polska, w odróżnieniu od innych państw środkowej i południowo-wschodniej Europy nie miała jeszcze sfinalizowanej swojej „walki dyplomatycznej” o własne, uznane przez Wielkie Mocarstwa, miejsce w Europie. Jak wiadomo, komunikat konferencji „Wielkiej Trójki” z Jałty (lutego 1945 r.) w części VI poświęconej Polsce informował, że otrzyma ona prawo do udziału w konferencji założycielskiej ONZ w San Francisco dopiero po zreorganizowaniu Rządu Tymczasowego RP (uznawanego tylko przez ZSRR) na „szerszej podstawie demokratycznej z udziałem przywódców demokraty-

cznych z samej Polski i Polaków z zagranicą”. Decyzją tejże konferencji utworzono tzw. Komisję Moskiewską (w składzie komisarzy ludowych spraw zagranicznych W. Molotowa i ambasadorów aliantów zachodnich w Moskwie — Harri- man i Clark-Kerr), której zadaniem było wprowadzenie w życie jałtańskiego porozumienia o „reorganizacji Rządu Tymczasowego”.

Komisja przystąpiła szybko do pracy, ale już wkrótce wyłonił się w jej działalności głęboki impas. Nie wypracowano nawet — choć to kwestie proceduralne — trybu realizacji postanowień jałtańskich w sprawie Polski, nie mówiąc o meritum sprawy. Okazało się bowiem, że dyskusje nad „sprawą Polski” przerodziły się w poważną konfrontację polityczną, a nawet ideologiczną, w walkę o oblicze społeczno-gospodarcze powojennej Polski. Powstał więc w ten sposób swego rodzaju paradoks historyczny. Polska, która od pierwszych dni wojny przelewała krew swoich żołnierzy na niemal wszystkich frontach, kraj — którego naród i gospodarka poniosły kolosalne straty biologiczne i materialne, państwo — które mimo okupacji terytorium istniało nadal w sensie prawnomiędzynarodowym, ten właśnie kraj nie mógł wysłać swoich przedstawicieli na konferencję Narodów Zjednoczonych w San Francisco, aby w gronie zwycięzców współdecydować o kształcie przyszłego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego.

Nikie, właściwie żadne szanse na umieszczenie Polski na liście zaproszonych do San Francisco wywołały akcje protestacyjne zarówno ze strony emigracyjnego rządu Tomasza Arciszewskiego, jak również Rządu Tymczasowego. 11 marca 1945 r. polski rząd emigracyjny, protestując przeciwko niedopuszczeniu go do udziału w konferencji podkreślał fakt, że jest rządem uznanym przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Wodbyte trzy dni później rozmowie z sekretarzem Stanu USA polski ambasador J. Ciechanowski usłyszał zapewnienie, że Prezydent USA gotów jest „walczyć o sprawę polską”, ale napotyka trudności wyróżniające z różnej interpretacji uchwał jałtańskich. Sekretarz Stanu próbował bronić stanowiska amerykańskiego w tej kwestii, uzasadniając je konte-

stacyjnie zarówno ze strony emigracyjnego rządu Tomasza Arciszewskiego, jak również Rządu Tymczasowego.

11 marca 1945 r. polski rząd emigracyjny, protestując przeciwko niedopuszczeniu go do udziału w konferencji podkreślał fakt, że jest rządem uznanym przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Wodbyte trzy dni później rozmowie z sekretarzem Stanu USA polski ambasador J. Ciechanowski usłyszał zapewnienie, że Prezydent USA gotów jest „walczyć o sprawę polską”, ale napotyka trudności wyróżniające z różnej interpretacji uchwał jałtańskich. Sekretarz Stanu próbował bronić stanowiska amerykańskiego w tej kwestii, uzasadniając je konte-

stacyjnie zarówno ze strony emigracyjnego rządu Tomasza Arciszewskiego, jak również Rządu Tymczasowego. 11 marca 1945 r. polski rząd emigracyjny, protestując przeciwko niedopuszczeniu go do udziału w konferencji podkreślał fakt, że jest rządem uznanym przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Wodbyte trzy dni później rozmowie z sekretarzem Stanu USA polski ambasador J. Ciechanowski usłyszał zapewnienie, że Prezydent USA gotów jest „walczyć o sprawę polską”, ale napotyka trudności wyróżniające z różnej interpretacji uchwał jałtańskich. Sekretarz Stanu próbował bronić stanowiska amerykańskiego w tej kwestii, uzasadniając je konte-

stacyjnie zarówno ze strony emigracyjnego rządu Tomasza Arciszewskiego, jak również Rządu Tymczasowego.

Zdecydowany protest wystosował również Tymczasowy Rząd RP przesyłając czterem Wielkim Mocarstwom specjalne oświadczenie z 22 marca 1945 r. Stwierdzono w nim:

„Odbycie konferencji w San Francisco bez udziału Polski byłoby niesprawiedliwостью i niczym nie uzasadnioną krzywdą dla narodu polskiego, który pragnie całkowicie zabezpieczyć swą niepodległość i uważa za swoją szlachetną misję stanąć na straży pokoju i cywilizacji w Europie przeciw faszystowskiemu barbarzyństwu i zaborczym dążeniom niemieckim. Nie ma logicznych argumentów, które mogłyby uzasadnić pominięcie Polski, niezaproszenie przedstawicieli działającego obecnie Rządu Tymczasowego RP na konferencję w San Francisco. Fakt ten, że komisja powołana na konferencję krymskiej nie zakończyła jeszcze swojej pracy, nie może stanowić ani podstawy do pominięcia Polski, ani przeszkodą dla zaproszenia Rządu Tymczasowego do San Francisco”.

Protesty polskie znane były międzynarodowej opinii publicznej. Amerykański dziennik „Washington Post” w artykule redakcyjnym z 27 marca 1945 roku stwierdził, że jeżeli nie dojdzie do porozumienia w sprawie reprezentacji polskiej w San Francisco, „to nieobecność Polski — pierwszego kraju walczącego z nazizmem — będzie tragedią”. 31 marca senator republikański z Nebraski Kenneth S. Wherry wystosował do sekretarza Stanu Stettinusa list, wyrażając niepokój z powodu niezaproszenia Polski do San Francisco:

„Co z Polską, Panie Sekretarzu? — pisał. — Dlaczego Polska nie jest zaproszona?... Miliony Amerykanów zadają podobne pytania i z tego względu publikuję ten list”.

W odpowiedzi amerykański sekretarz Stanu „wzywał wszystkich zainteresowanych sprawą polską do cierpliwości”, ale „półki w Polsce nie powstanie Rząd Jedności Narodowej, Stany Zjednoczone nie zgodzą się na jej udział w Konferencji”. List kończy się optymistycznym przekonaniem, że „naród polski powinien mieć swoją Ojczyznę, prawdziwie narodowe państwo polskie, i w polityce światowej powinien zająć należne mu miejsce, w poważony przez historię, przez swój bohaterki i bezkompromisowy opór, jaki stawiał naszemu wspólnemu wrogowi, którego był pierwszą ofiarą”.

Sprawa udziału Polski w konferencji założycielskiej ONZ spotkała się natomiast z wielkim poparciem rządu Związku Radzieckiego. Przywódcy radzieccy sugerowali, że jeżeli prace Komisji Moskiewskiej nie zakończą się w czasie umożliwiającej utworzenie Rządu Jedności Narodowej, w spotkaniu Narodów Zjednoczonych powinni wziąć udział przedstawiciele Rządu Tymczasowego, jako realnie sprawującego władzę na całym obszarze kraju i cieszącego się poparciem ludności. Również brak stosunków dyplomatycznych między Rządem Tymczasowym RP a rządami mocarstw zachodnich — zdaniem Moskwy — nie powinien stanowić przeszkody dla zaproszenia delegacji polskiej do San Francisco. Przeciwnie rząd ZSRR — argumentowali Amerykanom Rosjanie — „także nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych z takimi krajami, jak: Indie, Haiti, Liberia, Paragwaj, lecz mimo to pozwolił na rękę Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym i zgodził się na ich uczestnictwo na konferencji w San Francisco”.

Tego rodzaju argumentacja nie zmieniała stanowiska mocarstw zachodnich, które obawiały się, że jakiegokolwiek ustępstwo w kwestii reprezentacji Polski na konferencji założycielskiej ONZ grozi uznaniem Rządu Tymczasowego RP de facto, a w konsekwencji — pogorszeniem szans na rozwiązanie „sprawy polskiej” zgodnie z ich programem politycznym. Mogło to stać się — ich zdaniem — groźnym precedensem dla ułożenia stosunków z innymi państwami Europy Wschodniej.

Sztymne stanowisko Anglososów w sprawie udziału polskiej delegacji w San Francisco spowodowało nagłą i gwałtowną reakcję rządu ZSRR, który zapowiedział wstrzymanie wyjazdu Komisarza Ludowego spraw zagranicznych W. Molotowa, jako szefa delegacji radzieckiej na konferencję założycielską ONZ. Wypowiedzenie na tę funkcję Andrieja Gromyke — wówczas już ambasadora ZSRR w Waszyngtonie (tj. istotne obniżenie rangi delegacji radzieckiej) było wyraźną demonstracją niezadowolenia strony radzieckiej, odebranego zresztą w Białym Domu „z niemiłym zaskoczeniem”.

„Jesteśmy bardzo wysokiego mniemania — pisał Roosevelt do Stalina — o osobistych walorach i zdolnościach ambasadora Gromyko i wiemy, że będzie on w sposób właściwy reprezentował Związek Radziecki. Niemniej jednak nie mogę nie doznawać głębokiego rozczarowania, że p. Molotow, jak widać, nie zamierza być obecny na konferencji... Konferencja bez p. Molotowa pozbawiona będzie ogromnego atutu. Jeśli pilne i trudne obowiązki w Związku Radzieckim uniemożliwiają mu pozostanie w trakcie całej konferencji, to mam wielką nadzieję, że uzna Pan za możliwe zezwolić mu na przyjazd przynajmniej na niezmierne ważne posiedzenie początkowe. Wszystkie mocarstwa, inicjujące konferencję (...) będą reprezentowane przez swych Ministrów Spraw Zagranicznych. W tych okolicznościach, obawiam się, że nieobecność p. Molotowa będzie komentowana na całym świecie jako oznaka braku należytego zainteresowania dla wielkich celów tej konferencji ze strony Związku Radzieckiego”.

W ten sposób naród polski stał się pełnoprawnym członkiem rodziny „United Nations”, jednym z 51 jej członków pierwotnych.

Stalin nie zmienił swego zdania. Również kolejna interwencja osobista amerykańskiego prezydenta nie odniosła skutku.

12 kwietnia 1945 r. Prezydent USA Roosevelt zmarł. W związku z jego śmiercią, a ściślej ze względu na potrzebę rozpoznania kursu politycznego nowego prezydenta wobec podstawowych spraw stosunków ZSRR—USA, nastąpiła zmiana stanowiska rządu radzieckiego co do składu delegacji ZSRR na konferencję w San Francisco. Zrozumiał to również błyskawicznie amerykański ambasador w Moskwie A. Harri- man, który w rozmowie ze Stalinem stwierdził, że naród amerykański doceniłby gest, którym byłoby wysłanie Molotowa do San Francisco.

Molotow przybył więc na konferencję, ale w przeddzień jego przyjazdu doszło w Moskwie do podpisania radziecko-polskiego Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy Powojennej. Fakt ten przesądził w rzeczywistości o przyszłym kierunku polskiej polityki zagranicznej i jej związkach sojuszniczych, a podpisanie Układu przez samego Stalina nadawało dokumentowi szczególnego znaczenia międzynarodowego.

2 maja 1945 r. delegacja radziecka wystąpiła ponownie z apelem o zaproszenie Rządu Tymczasowego RP na konferencję założycielską. Sprawę przedstawiono w kontekście nacisków państw zachodnich domagających się zaproszenia delegatów rządu argentyńskiego. Molotow przedkładał wówczas:

„Pośpiech w sprawie zaproszenia Argentyny staje się niezrozumiałym, a nawet zdumiewającym, jeśli uświadomimy sobie, że zaprasza się tak szybko Argentynie, która tak długo popierała Niemcy, a odmawia się udziału w obradach Polsce, której bohaterki naród tyle lat walczył z Niemcami i tyle ofiar poniosł w tej wojnie. Nikt nie może zaprzeczyć temu, że Rząd Polski jest rządem demokratycznym. Rząd Tymczasowy Polski cieszy się pełnym poparciem narodu i wraz z naszymi sojusznikami prowadzi walkę przeciw naszemu wrogowi”.

Wniosek radziecki poparły delegacje Czechosłowacji i Jugosławii; Francja wstrzymała się od głosu; przeciwko wnioskowi głosowało 10 delegacji.

Ostatecznie, wskutek przeciugających się rokowań w sprawie utworzenia Rządu Jedności Narodowej w Polsce, delegacja polska nie przybyła do San Francisco przed zakończeniem obrad konferencji. W ostatniej jej fazie podjęto natomiast ważną z politycznego punktu widzenia decyzję o ZAREZERWOWANIU dla Polski wolnego miejsca na podpisanie Karty Narodów Zjednoczonych uchwalonej 26 czerwca 1945 r. Tym sposobem Polska uzyskiwała prawo członka — założyciela ONZ, chociaż — jak wynikało z powyższych rozważań — „nie miała nawet szansy wypowiedzenia się nad projektem z Dumbarton Oaks, na którym operowała się podpisana przez nią Karta NZ”.

Praktycznie, dopiero pierwszą okazją do oficjalnego przedstawienia programu polskiego rządu w sprawie organizacji bezpieczeństwa — rzecz charakterystyczna — programowi zmienionego co do swej istoty w ciągu całego okresu istnienia ONZ, była uroczystość podpisania Karty NZ w dniu 15 października 1945 r. W deklaracji rządu RP złożonej przez ministra spraw zagranicznych Wincentego Rzymowskiego stwierdzono:

„Rząd Polski w należyty sposób ocenia system bezpieczeństwa zbiorowego ustalonego w Karcie Narodów Zjednoczonych i gotów jest w miarę sił swoich współpracować z innymi członkami tej organizacji nad utrzymaniem pokoju świata i odbudową pomyślności i dobrobytu narodów, które ucierpiły wskutek barbarzyństwa najeźdźcy niemieckiego...”.

W ten sposób naród polski stał się pełnoprawnym członkiem rodziny „United Nations”, jednym z 51 jej członków pierwotnych.



Obszerując strukturę naszego rynku wewnętrznego można zauważyć, że występowały na nim, a w wielu wypadkach występują nadal, trzy podstawowe elementy: przedsiębiorstwo produkcyjne, handlowe i indywidualni konsumenci. Sytuacja taka byłaby typowa, gdyby nie fakt, iż po stronie oferującej podaż występowała i występuje nadal widoczna tendencja do monopolizowania rynku. W handlu procesy te przybrały na tempie i znaczeniu po dokonaniu reformy jego funkcjonowania w 1976 r. W jej wyniku powstały, między innymi, wielobranżowe Wojewódzkie Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego, prowadzące sprzedaż artykułów przemysłowych. Wojewódzkie Spółdzielnie Spożywców sprzedające artykuły żywnościowe, rynek wiejski natomiast zdominowały Wojewódzkie Związki Spółdzielczości Rolniczej.

Konsekwencją zatem takiego stanu rzeczy jest wykształcenie się wysoce niekorzystnego układu sił na rynku, przypominającego kilkuszczelbłą drabinę. Na samym jej szczycie znajduje się producent monopolista, którego pozycja jest tym silniejsza, im większe braki występują na rynku, zwłaszcza w zakresie produkowanych przez niego wyrobów. On też dyktuje warunki określające wielkość dostaw, ich terminy, rodzaj oferowanego towaru, a ostatnio także ceny.

Partnerami monopolistów są na ogół wymienione powyżej organizacje handlowe. Wydawać by się mogło, że będąc monopolistami w dziedzinie handlu, a więc mając wyłączność sprzedaży określonych towarów, staną się one niejako automatycznie równorzędnymi kontrahentami producentów. Tymczasem tak nie jest, bowiem przedsiębiorstwa handlowe mają faktycznie ograniczone pole manewru w dokonywaniu wyboru dostawców, co wynika właśnie z istnienia monopolu produkcji.

Na samym dole tej hierarchii znajduje się indywidualny konsument. Jego pozycja jako partnera na rynku jest zdecydowanie najslabsza. Ma on bowiem naprzeciw siebie dwie potężne organizacje: przemysłową i handlową, „de nomine” pracujące na jego potrzeby, faktycznie zaś realizujące cele często dość odległe od nich. Przy takiej strukturze rynku konsument został pozbawiony jakiegokolwiek wpływu na kierunki ich działań, co również ograniczyło możliwość dokonywania wyboru w procesie zaspokajania potrzeb. Układ sił rynkowych uniemożliwił to w sposób znakomity, skutecznie oddzielając nabywcę od producenta dóbr. W konsekwencji wytworzyła się sytuacja, w której działania zmierzające do zapewnienia równowagi rynkowej przebiegały niejako dwuetapowo:

— po pierwsze — istniała tendencja do utrzymywania równowagi rynkowej na styku producenta — handlu, wyrażająca się w dążności do realizacji zawartych między kontrahentami umów i porozumień. Sfera ta była istotna dla przedsiębiorstw przemysłowych, gdyż wywiązywanie się z umów handlowych dawało im podstawę do premii z tytułu wykonania planów sprzedaży rynkowej.

— po drugie — istniała potrzeba równowagi rynku w układzie: faktyczne potrzeby nabywców a wielkość i struktura podaży. Bardzo często bowiem umowy zawierane między kontrahentami z produkcji i handlu nie odzwierciedlały w pełni oczekiwań konsumentów.

W sytuacji permanentnych braków rynkowych, rynku producenta, organizacje handlowe musiały najczęściej godzić się, co robią niechętnie nadal, na warunki przedsiębiorstw przemysłowych co do wielkości i struktury towarów przeznaczonych na sprzedaż. U podłoża tych zjawisk, obok innych przyczyn, leżał przede wszystkim wadliwy system ekonomiczno-finansowy. Jedną z jego głównych wad była niewielka zdolność do nakierowywania jednostek produkcyjnych i handlowych na zaspokajanie potrzeb indywidualnych nabywców. Obecnie, jak wynika z założeń wprowadzanej reformy gospodarczej, jednym z jej głównych zadań jest zmiana tej wysoce niekorzystnej sytuacji. Ale zagadnienie to ma dwa często przeciwnostawne aspekty. Za przykład może posłużyć obserwacja niektórych dziedzin działalności przedsiębiorstwa.

PLANOWAĆ PO NOWEMU

Otoż w myśl założeń reformy, podstawą planowania w jednostkach gospodarczych mają być zawarte umowy i porozumienia między przedsiębiorstwami przemysłowymi, odnośnie surowców, części kooperacji oraz między producentami i przedsiębiorstwami handlowymi, w zakresie wielkości i struktury towarów przeznaczonych na sprzedaż. Podstawą tych uzgodnień powinno być autentyczne rozeznanie popytu reprezentowanego przez nabywców, jak również informacje co do kierunków rozwoju konsumpcji wynikające z założeń planu centralnego. Pomijając specyficzne przypadki, w których organ nadzór ma prawo narzucić przedsiębiorstwu kierunki i rodzaj produkcji, generalnie można powiedzieć, że w nowym systemie odeszliśmy od ścisłego podporządkowania planów przedsiębiorstw planowi centralnemu. Wynika to zarówno z faktu, iż plan ten ma jedynie wytyczać główne kierunki i ramy działalności samodzielnych przedsiębiorstw, jak również z daleko idącego uspołecznienia procesu planowania. Wyrażać ma się ono, przede wszystkim, w istotnym udziale instytucji samorządowych w procesie kształtowania zadań przedsiębiorstwa, jakim na tym szczeblu jest samorząd załogi i rada pracownicza.

Zatem, o głównych kierunkach działalności przedsiębiorstwa, w tym także handlowego, decydować będą przedstawiciele załogi, odpowiedzialni przed nią za swoje decyzje. Wąść tej odpowiedzialności powiększa fakt, iż jednostki handlowe funkcjonują na zasadach samofinansowania, wobec czego od wielkości sprzedaży, a w ten sposób od zrealizowanej marży, zależy ich wynik finansowy więc i płace pracowników. W tej sytuacji można się więc dopatrzeć pewnej zbieżności interesów między przedsiębiorstwami handlowymi a indywidualnymi konsumentami. Aby bowiem, we względnie normalnych warunkach, realizować sprzedaż, podaż musi być przynajmniej w pewnym stopniu dopasowana do możliwości i preferencji nabywców. Przedsiębiorstwa handlowe zatem, w swoim własnym dobrze pojętym interesie,



Foto: M. Zajdler

MARIUSZ JĘDRZEJCZAK

Czy handel może być sprzymierzeńcem klienta?

starać się muszą o towar, który znajdzie nabywców na rynku. Będą więc wywierane presje na producentów, aby ci uwzględniali tego typu zadania. Wprowadzany obecnie system finansowy powinien w tym samym kierunku wytyczać działalność jednostek przemysłowych. Podstawą ich oceny i możliwości rozwoju staje się bowiem zdolność do samofinansowania, którą mogą uzyskać tylko poprzez realizację sprzedaży swoich wyrobów na rynku.

Istotnego znaczenia nabiera również pozycja banku, jako źródła wszelkiego rodzaju kredytów na podtrzymanie i rozwój działalności przedsiębiorstw. W myśl nowej ustawy bankowej, może on odmówić finansowania jednostek gospodarczych, które swoim funkcjonowaniem nie dają gwarancji spłaty kredytów, a więc są niegospodarne i mało elastyczne, jeśli chodzi o potrzeby rynku.

Można zatem powiedzieć, że z punktu widzenia konsumenta, nowy sposób podejścia do procesu planowania ma wiele zalet, a przede wszystkim te, że powinien zmuszać przedsiębiorstwa produkcyjne i handlowe do uwzględniania w planach produkcji i sprzedaży potrzeb nabywców.

JAK WYKORZYSTAĆ SAMODZIELNOŚĆ!

Również istotnym polem działalności przedsiębiorstwa handlowego, jest swoboda i samodzielność organizacyjna. Reforma otwiera tu praktycznie wiele nowych możliwości. Zgodnie bowiem z jej zasadami przedsiębiorstwa zaliczane do jednej sfery działalności gospodarczej mogą również podjąć się jej w innym zakresie. Oznacza to w praktyce, że organizacje handlowe mogą prowadzić także działalność produkcyjną lub usługową i odwrotnie — producenci mogą sami sprzedawać swoje wyroby. Przykładów tego typu rozwiązań można znaleźć wiele nie tylko w krajach zachodnich, lecz również na Węgrzech, w Jugosławii, a nawet w niewielkim stopniu w Polsce.

Od wielu lat niektóre duże węgierskie domy towarowe wykorzystują produkcję nakładczą, która znacznie uzupełnia i wzbogaca ofertę podażową przemysłu. Dotyczy to na ogół takich towarów, których wytwarzanie dla dużych przedsiębiorstw produkcyjnych może być z różnych względów nieopłacalne. Mogą to więc być np. różnego rodzaju artykuły o krótkich seriach, szybko zmieniającym się popycie zależnym choćby od mody, czy też artykuły „tyśiąca i jeden drobiazów”. Próby zastosowania tego typu działalności, niestety, z niewielkimi efektami, podejmowano także w warszawskich DT „Centrum”. Pomysł nie znalazł jednak naśladowców w kraju i niewątpliwie cena inicjatywa została zaprzeczona.

Rozwiązanie to w naszych obecnych warunkach powinno mieć jednak przyszłość choćby z trzech zasadniczych względów:

— po pierwsze — dlatego, iż możliwości przemysłu, choćby tylko w tych wymienionych tu grupach towarów, są prawie żadne,

— po drugie — gdyż obok korzyści ekonomicznych dla przedsiębiorstwa, pozwala zaspokoić autentyczne potrzeby klientów,

— po trzecie — gdyż można założyć, że znalezienie chętnych do tego typu pracy nie byłoby zbyt trudne, choćby wśród matek będących na urlopie macierzyńskich czy zasiłkach wychowawczych.

Korzystnym rozwiązaniem wydaje się rów-

niez kontraktowanie przez jednostki handlowe, przeważnie duże domy towarowe, mocy produkcyjnych wytwórców. Ta forma współpracy stosowana jest z powodzeniem przez SDB „Central” w Łodzi.

Rozwiązanie to posiada zalety dla wszystkich zainteresowanych stron. Producent ma zapewniony zbyt na swoje wyroby, przedsiębiorstwo handlowe i konsumenci zapewnioną ich podaż, jeśli nie pod względem ilościowym, to przynajmniej pod względem wyboru odpowiedniemu oczekiwaniom rynku. Wynika to z faktu, że aczkolwiek teoria, jak i praktyka działania wszystkich łączących się na świecie producentów wskazuje na konieczność prowadzenia przez nich badań rynku, u nas rozeznanie w tej dziedzinie było wręcz znikome. Producenci bowiem wychodzili z założenia, że na ubogim rynku każdy produkt zostanie sprzedany, a pytanie nabywców o to, jaki on powinien być, jest stratą czasu i pieniędzy. Można chyba już dziś zaryzykować stwierdzenie, iż w miarę stabilizacji rynku, przy obecnych cenach, coraz trudniej będzie sprzedawać towary według starych zasad. A dziś właśnie handel będący bliżej konsumenta, może dać większą gwarancję znajomości jego potrzeb. Będzie to w najbliższym czasie poważny atut w jego rękach.

ZA CO PŁAĆ!

Wydaje się bowiem, że obok wymienionych powyżej problemów związanych z funkcjonowaniem przedsiębiorstw handlowych, niezwykle istotne znaczenie ma zarówno dla pracowników, jak również klientów, obowiązujący system plac w handlu. Jego prawidłowe działanie może być motorem wyzwalającym inicjatywę i pomysłowość tego sektora, co w konsekwencji powinno przynieść tylko korzyści wszystkim kupującym. Dotychczasowe zasady wynagradzania niestety nie zachęcały dostatecznie pracowników przedsiębiorstw handlowych do zabiegania o towar, podnoszenia wydajności pracy, lepszej obsługi klienta. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że właściwie dla sprzedawcy bardziej wygodne było, gdy nie posiadał towaru w sklepie, niż gdy go miał. Paradoks polegał na tym, że sprzedawca był i jest dotąd, wynagradzany prawie jak urzędnik.

Wzrost jego płacy z tytułu wzrostu obrotów placówki jest tak niewielki, że nie może stanowić bodźca do lepszej pracy. W takiej sytuacji posiadanie towaru w sklepie, zwłaszcza obecnie, powoduje, że trzeba się napracować, bardzo często szarpiąc nerwy w utarczkach z klientami, bez wyraźnych i odczuwalnych efektów finansowych. Jest już dziś faktem oczywistym, że system ten musi ulec zmianie. Wiadomo także, że reforma, jak dotąd, nie wypracowała żadnego pozytywnego rozwiązania w tym względzie i że system motywacyjny jest jej jednym z najsłabszych punktów. Aktualnie obowiązujące przepisy (wynikające z uchwały nr 243 RM określającej zasady działania przedsiębiorstw w roku 1982) wręcz hamują pozytywne rozwiązanie tego problemu, poprzez wysoce progresywną podatkową obciążającą wzrost przeciętnego wynagrodzenia. Należy sądzić, że u podstaw tych decyzji leżała chęć zapobieżenia nieuzasadnionym podwyżkom plac, wynikającym z możliwości ustalania cen towarów, a tym samym realizowania określonych sum marż stanowiących podstawę zysków w przedsiębiorstwach handlowych. Kwestia ta musi być jednak rozwiązana, jeżeli nie ma stanowić

barierę wprowadzania systemu gospodarowania. Trzeba zresztą stwierdzić, że obecne wysiłki rządu idą właśnie w tym kierunku.

Wydaje się, że jednym z możliwych do przyjęcia wariantów rozwiązania tego problemu w handlu, mogłaby być zmiana dotychczasowego systemu, plac na system wynagrodzeń obliczanych w stosunku rocznym dla pracowników sprzedawczych zatrudnionych w sklepach. Wiadomo przecież, że w wielu branżach występuje sezonowość sprzedaży niektórych dóbr, wynikająca bądź to z sezonowości podaży, bądź z sezonowości popytu na niektóre towary (np. przetworstwa owocowo-warzywnego). Istotny wpływ na wielkość sprzedaży pewnych wyrobów ma także moda (odzież, obuwie).

Przy sygnalizowanym rozwiązaniu problemu sprzedawca mógłby zarabiać w ciągu kilku miesięcy, sezonu bądź mody, wielokrotnie więcej niż w pozostałe miesiące roku. Instrumentem regulującym jego dochody mógłby być podatek wyrównawczy obliczany właśnie w stosunku do rocznego wynagrodzenia. Zakładając wszelkie możliwe wady takiego rozwiązania, jak choćby poważną arytmie plac w ciągu roku, można chyba przyjąć, że działałoby ono bardziej stymulująco na pracę sklepów i ich personelu niż system dotychczasowy, a tym samym bardziej zblizalo interesy pracowników przedsiębiorstwa handlowego i klientów. Sprzedawca byłby bowiem wynagradzany za faktyczną pracę i jej efekty, w postaci zdobywania towaru i jakości obsługi klienta, a nie za obecność w sklepie.

Można również z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że zniknąłby jeden z podstawowych zarzutów wobec handlu dotyczący godzin i czasu funkcjonowania sklepów. To, że nasze miasta są „pustyniami handlowymi” w dniach wolnych od pracy nie jest tylko wynikiem braku towarów, lecz również braku motywacji pracy w tym czasie. Wiadomo przecież, że we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych, w te właśnie wolne dni, handel realizuje największe obroty. Argument, że brakuje nam towarów na sprzedaż w normalne dni tygodnia można zbić stwierdzeniem, iż musimy przygotowywać rozwiązania finansowe i organizacyjne, które będą się sprawdzać w normalnych warunkach rynkowych, do jakich przecież ma nas doprowadzić reforma.

DRUGA STRONA MEDALU

W toku dotychczasowych wywodów starałem się w sposób mniej lub bardziej szczegółowy, opierając się na niektórych przykładach, wykazać, że istnieją potencjalne możliwości pozytywnej odpowiedzi na postawione w tytule pytanie. Trzeba, niestety, stwierdzić, o czym już wspominałem, iż zagadnienie to ma również swoje niekorzystne aspekty:

— Po pierwsze — wynikają one ze wspomnianej już struktury rynku, jego silnej monopolizacji, zarówno po stronie produkcji, jak i sprzedaży. Struktura ta, kształtowana latami, utrudnia w sposób znakomity swobodę wyboru dostawcy przez przedsiębiorstwa handlowe, niewzety konkurencję, nie stymuluje podnoszenia jakości produkcji i usług, zmniejsza możliwość elastyczności dostosowywania się do potrzeb rynku i konsumentów. Powoduje więc obok przepisów administracyjnych, istotne wypaczenia, a niekiedy wręcz niszczy podstawy nowych zasad budowania planów w przedsiębiorstwach handlowych. Monopolizacja sprzedaży z kolei odbiera wszelką możliwość jakiegokolwiek wyboru klientom, którzy określone towary mogą kupić tylko u tego, a nie innego sprzedawcy.

Abstrahuje tu od sprzedaży niektórych dóbr trwałego użytku, jak np. samochody, sprzęt elektroakustyczny, w przypadku których z względu na ich cechy charakterystyczne, niezbędność usług serwisowych, taka specjalizacja wydaje się konieczna. Lekarstwem na ten stan rzeczy powinna być konsekwentna realizacja idei „otwartego rynku”, tzn. dopuszczenia nań uczestników reprezentujących różne formy organizacyjne, łamiących konwencjonalne dotąd sposoby działania.

Konieczne jest także wprowadzenie w życie odpowiednio wyważonej ustawy antymonopolowej. Wspomnianej konsekwencji niestety często brakuje i niekiedy podejmowane decyzje kolidują wręcz nie tylko z duchem, ale i literą reformy. Przykładem mogą być choćby działania zmierzające do tworzenia obligatoryjnych zrzeszeń przedsiębiorstw handlowych.

Po drugie — poważnym źródłem ograniczeń w działalności przedsiębiorstw, w tym także handlowych, są obowiązujące aktualnie przepisy wynikające ze wspomnianej już uchwały (regulującej działalność przedsiębiorstw w bieżącym roku), zwłaszcza w części dotyczącej obliczania podatku dochodowego i podatku od wynagrodzeń. Przepisy o stanie wojennym, zawierające działalność samorządową w jednostkach gospodarczych, jak również funkcjonowanie wielu priorytetów w postaci planów operacyjnych. Trzeba jednak stwierdzić, że w przypadku samorządów ostatnie decyzje rządu wychodzą naprzeciw oczekiwaniom społeczeństwa. Wszystkie te zjawiska jednak powodują, że gospodarka nadal funkcjonuje, w wielu wypadkach, w oparciu o dyrektywy, rozdzielniki surowców i towarów, natomiast rola parametrów rynkowych, jako podstawy działalności gospodarczej, schodzi na plan dalszy. W efekcie w ślad za obligatoryjnymi decyzjami idą kontrole ich wykonania. Często, o czym powszechnie wiadomo, są one mało skuteczne, za to bardzo kosztowne. Wystarczy wspomnieć, iż szacuje się, że wykrycie jednej złotówki niedoboru w jednostce handlowej kosztuje ponad 20 zł. A jest przecież rzeczą oczywistą, iż sprawny system ekonomiczno-finansowy jest w stanie wyeliminować takie zjawiska znacznie tańszym kosztem i z większą korzyścią dla nabywców. Zadziala! Lwiem przed a nie po fakcie.

Jakkolwiek można stwierdzić, że w chwili obecnej i w bliższej przyszłości elementy dyrektywne w znaczny jeszcze sposób przesadzają o funkcjonowaniu naszej gospodarki, to jednak należy pamiętać, że reforma nie jest jednorazowym aktem, lecz procesem ciągłym. W jej założeniach tkwią możliwości jakich dotąd brakowało naszej gospodarce. Kwestia zasadnicza i koniecznością życiową jest umiejętność ich wykorzystania.

Minelo już trochę czasu od zamknięcia obrad XX Kongresu Techników Polskich. Można więc na bieżąco spojrzeć z pewnej perspektywy, uporządkować niektóre wątki występujące w dyskusji, spokojnie ocenić przedmiot niektórych sporów. Można też wyrazić dostrzec przewodnią myśl kongresowych dyskusji. Była nią troska o pełne wykorzystanie potencjału intelektualnego polskich inżynierów, ich doświadczenia i umiejętności. Każdy chce czuć się przydatnym, potrzebnym. Cóż dopiero ludzie, na których spoczywa odpowiedzialność za teraźniejszość i przyszłość techniki w Polsce, za postęp w tej dziedzinie.

Nie muszę nikogo przekonywać, że trzeba wiele zrobić dla rozwoju techniki w Polsce, wiele zmienić, aby gospodarka mogła należycie funkcjonować, a posiadany potencjał przemysłowy był nie tylko należycie wykorzystywany, ale też i prawidłowo rozwijany. I do tego muszą przyczynić się inżynierowie.

„Muszą to jednak być inżynierowie — znalazłam w jednym z Kongresowych dokumentów taką myśl — a nie tylko posiadacze dyplomów inżynierskich i trzeba z kolei stworzenia warunków, w których ci inżynierowie chcieliby i mogli pokazać, co potrafią.”

W dokumencie tym znalazłam też wyraz jakby żalu, że tylko we wczesnych latach powojennych rozwój kraju opierał się przede wszystkim na własnej myśli technicznej. Później powoli z tego rezygnowano i w latach siedemdziesiątych rozwój gospodarki oparto głównie na imporcie myśli technicznej i to w przeważającej części z Zachodu, a wysiłki inżynierów sprowadzono do opatentowania i adaptacji licencji do krajowych potrzeb. Ten żal — jeśli to można sprowadzić do takich kategorii — wynika z faktu, że choć 80 proc. krajowych wyrobów opierało się na rodzimych, rozwiązaniach konstrukcyjnych, to jednak wszystkie liczące się wyroby, będące — jak to się ładnie mówiło — wizytówką polskiego przemysłu, stanowiły zagraniczne rozwiązania a około 70 proc. realizowanych w latach siedemdziesiątych inwestycji związane było z zagranicznymi licencjami.

Nic więc dziwnego, że w przedkongresowych i kongresowych dyskusjach mówiono się wiele o niechęci do własnych rozwiązań, o niedocenianiu rodzimej twórczości technicznej, ba! — nawet o „wrogim stosunku do wyróżniających się twórców techniki”, co wszystko razem musiało doprowadzić do upadku polskiej myśli technicznej.

Tak było. Ale czy to znaczy, że dziś trzeba się tym zajmować? Czy nie lepiej śmiało patrzeć w przyszłość, kresić nowe zadania? Pewnie lepiej, ale żeby móc to zrobić trzeba wyzbyć się uczucia

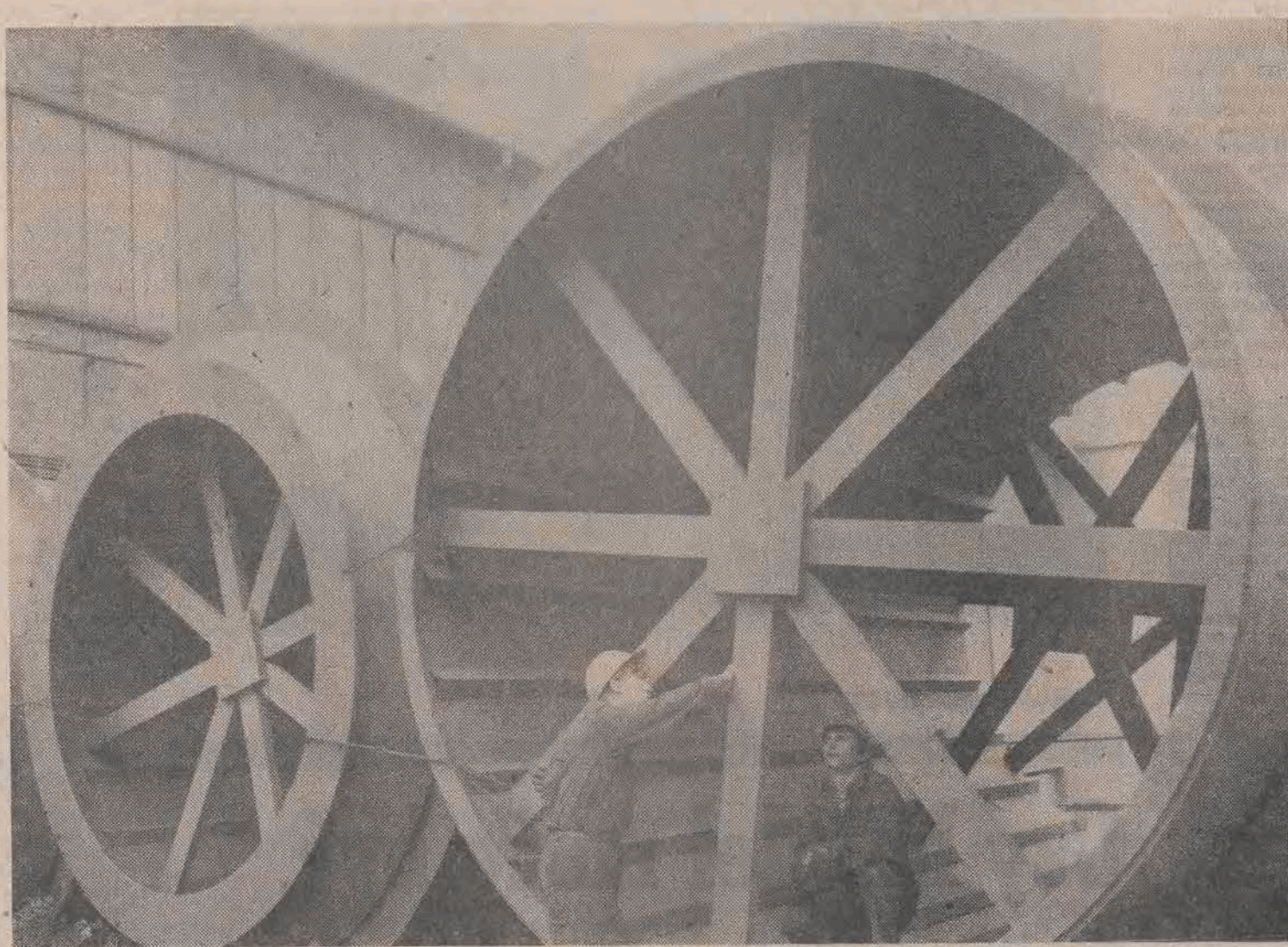
ROZCZAROWANIA

nabrać pewności, że minione będą już się nie powtórzą, że to, co się zrobi będzie potrzebne i celowe.

Rozczarowanie nie wzięło się tylko z poczucia niedoceniania. Wyrosło na faktach. Dziś, kiedy tak modne są wszelkie kontrole i rozliczenia, każdy wraca myślą do minionych postanowień, postulatów, propozycji i zastanawia się, co z tym zrobiono, jak je wykorzystano? Nim więc zapadła uchwała zamknięcia obrad XX Kongresu Techników Polskich podjęto nie realizowane wnioski VII Kongresu z 1977 roku. (W tym miejscu muszę wyjaśnić niezorientowanym, że obrady XX Kongresu odbywały się w setną rocznicę zwołania pierwszego Kongresu Techników i choć po drugiej stronie liczone kongresy od nowa, stąd VII Kongres, to obecnie postanowiono powrócić do numeracji związanej z tradycją i dlatego VIII został przemianowany na XX.) Przede wszystkim jako wyraz powrotu do tradycji polskiej techniki.)

Rejestr nie spełnionych wniosków i postulatów jest spory. Nie ma tu wprawdzie rewelacji, raczej sprawy oczywiste, ale warto przyjrzeć się niektórym, gdyż pokazują one, że inżynierowie i technicy zwracali poprzez te postulaty uwagę na wiele niekorzystnych zjawisk w naszym życiu gospodarczym i w rozwoju techniki. I tak:

— w niewielkim tylko stopniu realizowano wnioski mówiące o konieczności „doskonalenia organizacji i metod za-



Czy nadejdzie czas dla inżynierów

BOGDA MADEJ

„Rządzenia w przemyśle” przez co nie można było należycie wykorzystywać posiadane potencjały sił i środków przedsiębiorstw, maszyn i pracy ludzkiej;

— produkcja sprzętu i urządzeń dla potrzeb rolnictwa i produkcji żywności nie osiągnęła postulowanych rozmiarów; — niedostateczny był wzrost ilościowy i jakościowy wyrobów przeznaczonych na rynek krajowy;

— nie wzięto pod uwagę postulatów mówiących o potrzebie większego wykorzystywania surowców wtórnych;

— nie nastąpił postulowany rozwój potencjału produkcyjnego przedsiębiorstw zajmujących się budową i konserwacją większych wodociągów i systemów melioracyjnych przez co nie dokonano zakładanego postępu w tej dziedzinie;

— nie zrealizowano żadnego z postulatów dotyczących rozwoju przemysłu papierniczego, a m. in. postulatu mówiącego o potrzebie zwiększenia ilości produkowanych papierów oraz ich jakości, jak też opakowań dla przemysłu spożywczego;

— nie straciły swej aktualności wnioski i postulaty dotyczące produkcji i wykorzystania materiałów budowlanych, a co więcej, aktualne są niektóre wnioski z 1971 roku, jak choćby ten, który zakłada, że produkcja materiałów budowlanych powinna o 4—6 proc. wyprzedzać planowane potrzeby budownictwa;

— przy kształtowaniu polityki gospodarczej i programowaniu rozwoju kraju nie wykorzystano ani postulatów kongresowych, ani składanych memoriałów i raportów mówiących o konieczności usprawnienia gospodarki energetycznej i przemysłu elektrotechnicznego;

— nie wzięto pod uwagę postulatów konieczności należytego rozwinięcia produkcji części zamiennych, akumulatorów i opon dla przemysłu samochodowego.

„Czy po przestudiowaniu tej niepełnej listy nie zrealizowanych, niedocenionych postulatów, wniosków i uwag można się dziwić, że we wstępie do uchwały XX Kongresu TP znalazły się następujące stwierdzenia: „Jako zorganizowana społeczność środowisko techniczne najczęściej nie było uważane za współpartnera władzy w kształtowaniu czy też opiniotwórcy koncepcji rozwoju gospodarki i techniki. Szereg raportów opracowanych przez ruch stowarzyszeniowy wskazujących m. in. na realne zagrożenie było przemierzanych i

traktowanych pobieżnie. Niemniej jednak należy stwierdzić, że nie zrobiliśmy tego wszystkiego, co mogłoby zahamować zachodzące zjawisko upadku gospodarki”.

Stąd też wnioski zawarty w tejże uchwale:

„Kluczowym zagadnieniem dla dzwignięcia gospodarki z obecnego, katastrofalnego stanu i dla przyszłego rozwoju gospodarczego kraju jest właściwa strategia rozwoju techniki. Powinna ona prowadzić do pełnej mobilizacji wszystkich sił twórczych, jakimi dysponuje nasz kraj. Polegać zatem ona musi na właściwym wykorzystaniu twórczej myśli technicznej, inicjatyw i energii ludzkiej, bogatych zasobów naturalnych oraz rozwiniętego potencjału produkcyjnego. Wiele, jak nigdy dotąd, zależy od jasno określonej, racjonalnej i konsekwentnie prowadzonej polityki technicznej. Nie tylko na okres wychodzenia z kryzysu, lecz także, a może przede wszystkim, w dalszej perspektywie rozwoju”.

I zaraz oferta:

„Kongres Techników Polskich uważa, że Rząd i inne organa administracji państwowej powinny powołać do życia komisję ekspertów i opinii m. in. stowarzyszeniem naukowców-techników i komitetem Federacji. Podstawowym przy tym obowiązkiem kadry technicznej, biorącej udział w tych pracach, jest wskazywanie wszelkich możliwości gospodarki oraz metod ich wykorzystania. Środowisko nasze chce być zbiorowym ekspertem reprezentującym w swojej specjalności fachowe, obiektywne opinie w najlepiej rozumianym interesie gospodarczym i społecznym. Tę ofertę pod adresem władz pragniemy na obecnym Kongresie z całą mocą powtórzyć”.

Uchwała wyraża poparcie dla reformy gospodarczej, ale też zastrzega, że „niezbędne jest stałe modyfikowanie i uzupełnianie aktów normatywnych”. Stwierdza również, że „konceptcja Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego nie spełnia oczekiwań społecznych i budzi zastrzeżenia środowiska technicznego”. Uznano, że koncepcja ta „jest nadmiernie defensywna i daje za mało nadziei społeczeństwu”. A także, że brak jej jest „próbę korelacji głównych założeń (...) z warunkowaniami i postulatami zasobnymi” oraz że „za słabo zaakcentowane są niezbędne zmiany strukturalne w gospodarce”.

Zmiany te powinny wynikać z reformy gospodarczej. Dlatego

go ktoś powiedział, że „reformy powinna sięgać po inżynierów”, którzy są jej sojusznikami niemal naturalnymi, popierają ją. Ale pogląd ten wywołał sprzeciw prof. Zdzisława Sadowskiego, pełnomocnika rządu do spraw reformy, który uznał i chyba słusznie, że to

INŻYNIER POWINIEN SIĘGAĆ PO REFORMĘ

Słusznie dlatego, że nie jest to formalne przedstawienie akcentów, ale zasymulowanie potrzeby innego widzenia współzależności tego środowiska i całego społeczeństwa. Prof. Jan Kaczmarek, referujący wyniki pracy zespołu zajmującego się „doskonaleniem gospodarki i techniki oraz ich wzajemnego oddziaływania”, powiedział, co zostało przyjęte oklaskami, iż „uznano, że pozycja wyjściowa wszystkich inżynierów i techników wywołuje się musi z przeświadczenia, że łączą nas nierozdzielalne więzi z klasą robotniczą, że jedynie wspólnie z nią możemy wypracować wyniki, na które oczekuje całe społeczeństwo oraz my sami”.

A wicepremier Zbigniew Szalajda przypomniał, że 80 proc. ludzi zajmujących kierownicze stanowiska w przemyśle legitymuje się inżynierskimi dyplomami. Nie jest więc tak, że inżynierowie i technicy działają w próżni, że nie mogą poprzez swe poczynania przyczynić się do uruchamiania tych wszystkich mechanizmów, które są niezbędne dla zreformowania gospodarki, dla jej modernizacji i usprawnienia. Ale te możliwości nie są wykorzystywane i trudno temu zaprzeczyć. Czy tylko z winy inżynierów?

Uchwała XX Kongresu TP akcentuje dysproporcje, jakie występują „między stanem świadomości społecznej a wymaganiem stawianymi jednostkom i zbiorowościom przez nowoczesną technikę” oraz różnice, jakie zachodzą „między powszechnie przyjętym w środowiskach technicznych myśleniem systemowym a brakiem bądź niedostatkami takiego myślenia wśród wielu decydentów i części opinii publicznej”, uznając jednocześnie, że „wzajemne dopasowanie sposobów i stylów myślenia (...) jest warunkiem uniknięcia błędów”. Trudno zaprzeczyć, że takie zjawisko nie istnieje. Żyjemy w takich czasach, gdy bardzo wyraźnie ujawniają się drastyczne niekiedy różnice poglądów i sposobów myślenia w

różnych sprawach, często nawet mniej istotnych. Spotyka się też krzywdzące i niesprawiedliwe opinie na temat działalności inżynierów i wyników ich pracy, jakby wina za niski poziom techniki leżała tylko po ich stronie i brała się z niechęci do solidnej pracy. Biorą się one najczęściej z nieznośności rzeczy. Tylko, czy to coś wyjaśnia?

Prof. Janusz Tymowski, w wywiadzie zamieszczonym w 17 numerze „Przeglądu Technicznego”, poświęconym XX Kongresowi Techników Polskich, tak mówi o zawodowej etyce inżyniera: „Wiele osób uważa, że nie ma etyki zawodu, a jest tylko etyka porządnego człowieka. W moim przekonaniu są sytuacje inżynierskie specyficznie związane z zawodem i wychozące poza zasady etyki porządnego człowieka; a jeśli tak, to i ten zawód musi mieć swój kodeks etyczny, nawet jeśli nie jest on spisany. Nasuwa mi się tu przykra refleksja, że nie znam przypadku, by którekolwiek stowarzyszenie naukowo-techniczne wykluczyło ze swego grona człowieka uznanego winnym, nawet przez sąd, za postępowanie urągające kodeksowi karnemu, a w tym i etyce zawodu.”

Kiedy mówię studentom o etyce zawodu, wymieniam cztery postawy wobec błędnego polecenia: wyjaśnienie zwiększając okno w okno na czym błąd polega i odmówienie wykonania, wysłuchanie polecenia i niewykonanie go, wykonanie go z uspokojeniem siebie, że przecież to nie moja wina, wykonanie polecenia przy głośnym zachwycaniu się nim. Bez względu na to, którą postawę wybierzemy oarto pamiętać, że błąd lekarza zabiera pacjenta do grobu, ksiądz swoje błędy zrzuci na diabła, a błąd inżyniera nie da się ukryć”.

Żywność jest sporo i nie wszędzie czekają na nich z otwartymi rękoma. Nie chcę przez to powiedzieć, że z wykorzystywaniem inżynierów bierze się z ich nadmiarem. Źródła tego są znacznie głębsze.

Nie przypadkiem w dyskusji na XX Kongresie TP tak silnie akcentowano konieczność wprowadzania zmian systemowych w gospodarce i w sposobach nią zarządzania. Zmierzano ku temu reformą. Tyle tylko — jak to ktoś słusznie powiedział — że nie można jej wyników spodziewać się już od zaraz. Kryzys narastał latami i teraz łatwiej, aby gospodarkę ucieczył. Wielu ujemnych zjawisk łatwo i szybko się nie usunie.

W JAKIM KIERUNKU POWINIEN IŚĆ ZMIANY

Uchwała stwierdza, że „sprawą o kluczowym znaczeniu jest lepsze wykorzystanie polskiej myśli technicznej i rodzimych kadr inżynierskich”, wskazując jednocześnie, że droga do „posiadania rangi dobrej roboty inżynierskiej i autorytetu inżyniera” wiedzie przez „wprowadzenie w życie mechanizmu godziwego wynagrodzenia inżyniera za jego pracę”. Użyto nawet takiego określenia, że „dobry inżynier to dobrze opłacany inżynier”, zastrzegając się jednocześnie, że nie chodzi o żadne przywileje, a tylko „o właściwą pozycję w gospodarce i kraju”. Trudno odmówić słuszności tym stwierdzeniom, ale znowu sama dobra płaca wszystkiego nie rozwiąże.

Nasza gospodarka nastawiona była na zaspokajanie interesów producenta, co jest możliwe w warunkach braku pełnego zaopatrzenia rynku, a trudności z zaopatrywaniem rynku w różne wyroby pojawiły się już przed 1980 rokiem. Trzeba więc ją przestawić na zaspokajanie interesów użytkownika, konsumenta i klienta.

Podstawą rozwoju gospodarki nie może być stały zakup licencji, ale oparcie się na własnej myśli naukowej i technicznej. Nie wyklucza to możliwości kupowania licencji (jeśli będzie za co), jednak pod warunkiem, że staną się one podstawą dla własnych dalszych poszukiwań i rozwiązań.

Stopniowo trzeba odchodzić od biurokratyzowanego systemu zarządzania, od gigantycznych struktur administracyjnych, krepujących niekiedy skutecznie własne poszukiwania i wprowadzenie ich w życie.

Niezbędny jest rozwój drobnej twórczości, odrodzenie jej, oraz rozwijanie różnych form usług dla przemysłu i ludności. Opieranie rozwoju gospodarki na gigantycznych przedsiębiorstwach przyniosło już ujemne skutki i dla przemysłu, i dla ludności.

Planowanie rozwoju gospodarczego musi opierać się albo na realnych podstawach zawierających się w możliwościach energetyki i transportu, albo musi zakładać ich niezbędny, wyprzedzający rozwój. Z drugiej strony trzeba też zmierzać do wprowadzania takich technik, które wymagają mniej energii, a wcale nie są przeszkodą dla wprowadzania takich zasad kooperacji i organizacji, aby jak najmniej wozić wyroby po Polsce.

Zasygnalizowałam tylko niektóre z postulowanych zmian, widząc w nich realne możliwości powstania takich mechanizmów, które spowodują, że inżynier — przy tym dobrze opłacany za faktyczną pracę — zacznie być niejako w sposób naturalny potrzebny i przydatny. Proszę jednak nie sądzić, że wierzę w automatyzm. Inżyniera trzeba również do tej roli przygotować. Nie przypadkiem więc w dyskusji i uchwale znalazły się postulaty dotyczące systemu kształcenia inżynierów. Nie wchodząc w szczegóły można powiedzieć, że po pierwsze — kształcić inżynierów powinni ludzie przynajmniej z kilkuletnią praktyką przemysłową, a po drugie — postulowano powrót do kształcenia inżynierów, którzy wykazują zdolności do działania w produkcji i inżynierów magistrów, którzy doskonaliliby swe predyspozycje do pracy koncepcyjnej. Inżynier musi mieć warunki, aby pokazać co umie. Ale nie może być tylko posiadaczem dyplomu.

Kolaboracja?

Nosiłem się z tym tematem dosyć długo i jeżeli do tej pory go nie podjąłem to tylko dlatego, iż nie chciałem być posadzonej o tanią demagogię. Doszedłem jednak do wniosku, że — mimo swojego aspektu w pewnym sensie politycznego — cała sprawa ściśle przylega do poletka tematycznego, po którym się w swoich felietonach poruszam i stąd decyzja, by o tym szczegółowo, a może i bezprecedensowo, zjawisku pisać.

Urodziłem się — w końcu żadna to tajemnica — po wojnie, lub też — jak ja to dzisiaj mówię, wzorując się na pokoleniu naszych dziadków, którzy „przeżyli trzy wojny, w tym dwie światowe” — po tamtej wojnie. Po tamtej, bo sądząc z nazwy, stan wojenny w Polsce mamy i dzisiaj, ale jakoś to wszystko wygląda inaczej niż w czasie prawdziwej wojny i tuszę, że rzecz cała polega na nomenklaturze...

A zatem — urodziłem się po II wojnie światowej i przez szereg lat, pochodzący z łacińskiego, termin „kolaboracja” kojarzył mi się nieodparcie z hitlerowską okupacją, kiedy to określano nim pogardliwie współpracę z Niemcami. Aż nagle kilka miesięcy temu termin „kolaboracja” wszedł w język obiegowy na nowo. I to w dodatku najczęściej używa się go w odniesieniu do... artystów i dziennikarzy, a więc — jakbym nie patrzył — ludzi z mojej „branży”. Nie wiem, czy i ile na ten temat napisano w polskiej prasie, bo nie bardzo mam czas na regularne czytanie czasopism, ale jestem przekonany, że „każdy z czytelników wie o tym, że wielu wykonawców różnego typu miało w niezbyt elegancki sposób przerwane występy. Trudno mi powiedzieć, na jakiej podstawie wpisywano artystów na osławioną „czarna lista” i kto się tam znalazł; podobno jednym z wykładników było to, czy określony aktor, śpiewak, piosenkarz, udział w nim w ogłoszeniu stanu wojennego w środkach masowego przekazu, a już przede wszystkim w telewizji, którą uznano (piszę bezosobowo, bo jak na razie nikt do organizowania tych demonstracji oficjalnie się nie przyznał) za czołowy ośrodek propagandowej propagandy. Jeżeli nawet dzisiaj tak jest w istocie, to chciałbym przypomnieć, że — by nie mieszać tutaj przykładów z całego świata, gdzie jest podobnie — Telewizja Polska specjalnie pod-

biła rolę przez wiele poprzednich lat i jakoś nikt tych artystów, którzy pchali się przed kamerę, z tego powodu później nie wyklaskiwał i nie wytypuwał na scenie czy estradzie. Dlaczego gwiazdy protestacyjne przeciwko temu czy innemu wykonawcy podnoszą się teraz dopiero, skoro robi on to samo, co było jego zajęciem i przed 13 grudnia 1981 roku?

Ostatnio w większym gronie zwrócono się do pewnego autora tekstów piosenek: „słyszeliśmy twój utwór w telewizyjnej liście przebojów — to ty też kolaborujesz?”. Tak, jakby — po pierwsze — prezentacja piosenki na małym ekranie wymagała „jego każdorazowej zgody, a poza tym — po drugie, lecz ważniejsze — jakoś to kolaboracja, między kim, skoro polska piosenka polskiego autora emitowana jest za pośrednictwem polskiej stacji telewizyjnej? Takie paradoksalne obrzutki można by mnożyć. Oto znana artystka estradowa, która dotąd satysfakcjonowała każdy występ telewizyjny, nagle mówi z rozdrażnieniem o tym, iż puszczono w programie jeden z jej starszych recitali „chcę jej zrobić na złość, bo przecież jest stan wojenny, a kto będzie pamiętał, że ja to rejestrowałam wcześniej”. Falsz tego stwierdzenia jest oczywisty, gdy dodamy, iż w tymże samym stanie wojennym gwiazda piosenki uczestniczyła w kilkudziesięciu imprezach estradowych miesięcznie kasując — bynajmniej nie w ramach jakiegokolwiek protestu — po pięć tysięcy złotych za „sztukę”. Coś tam przebąkałoby się ostatnio o huncie aktorów, którzy nie wyrażają chęci pokazywania się w Teatrze Telewizji. Osobiscie nie wiem niczego bliższego na ten temat, wiem natomiast o pewnej presji psychicznej w branży estradowej. Nieprzypadkowo przecież popularna piosenkarka mająca na swym koncie liczne przeboje otrzymawszy w marcu propozycję nagrania telewizyjnego recitalu (bynajmniej nie pierwszego w swej karierze — trzy takie programy przygotowała w ciągu ostatnich trzech lat) do tej pory wahała się, czy przystąpić do pracy nad tym, a inny artysta estradowy chciałby wprawdzie przypomnieć się telewizzom, ale nie w nowym repertuarze, wobec czego zgłosił się do telewizji z prośbą... o sporządzenie montażu z jego poprzednich udziałów w audycjach TvP.

Nie wiem na ile to wszystko jest śmieszne, a na ile tragiczne. Presje środowiska w sprawie uczestnictwa w programach środków masowego przekazu, a szczególnie telewizji, tworzą — jako się rzekło — artyści zarabiający wcale niezły grosz podczas imprez estradowych. Tymczasem mass media zdominowane zostały przez muzykę młodej generacji — zalew rocka, jaki obserwujemy w ostatnich miesiącach, został spowodowany nie tylko popularnością tej muzyki wśród młodzieży, ale także faktem absolutnej obojętności na sprawy wielkiej polityki; młodzi ludzie

robią po prostu swoje, grają. Bывают też przypadki całkowitego zawieszenia działalności artystycznej, także estradowej; znam jednego takiego wszechstronnego artystę, który przysięgł, że dopóki będzie trwał stan wojenny w Polsce, dopóty on na estradzie nie wyjdzie. Przyjdzie mu to o tyle łatwo, że w ciągu poprzednich kilkunastu miesięcy wygłaszał niezbyt wybredne teksty „bo było wolno” zarobił grubo ponad dziesięć milionów złotych z orzekaniem bez korony. Teraz może się zdziwić, że inni pracują. Pardon, kolaborują. Jednak rzadko kto może sobie pozwolić na taką bezczynność, bo gdy brakuje mu na życie, przyjdzie wbić zęby w ścianę. Wszak trudno liczyć na pomoc materialną tych ze środowiska, którzy stosowali presję.

Opowiadał mi niedawno znajomy redaktor z Polskiego Radia — a pracuje tam już kilkanaście lat — że gdy przygotowywano mecz piłkarski pomiędzy reprezentacjami „Lata z radiem” i Programu III, w redakcji zadzwonił telefon. Anonimowy rozmówca zgłosił propozycję nazw dla obu drużyn: „kolaboranci” i „slugusy”. Ciekaw jestem, czy to ten sam dowcipnik, który tylekroć narzekał na muzykę rozrywkową w „Lecie z radiem”? Jeśli tak to dziwnie, bo swoim telefonem sugerował, że nie powinno jej tam być w ogóle — przecież nikt tam nie powinien pracować. To kolaboracja.

Zastanawiałem się, skąd to szczególne posłannictwo protestu przyznane ludziom sztuki. Dlaczego mianem kolaboranta nie określa się lekarza pogotowia udzielającego pierwszej pomocy, ślusarza przy warsztacie, prądkę przy maszynie czy motorniczego w tramwaju? Oni też wykonują jedynie swoją robotę. I tak z ich, jak i z naszej pracy społeczeństwo czerpie określone korzyści. Może po prostu artystów łatwiej „trafić”, starając się unokorzyć — to prostsze załuszczyć śpiewaka niż nie dopuścić do prowadzenia autobusu przez kierowcę wiozącego ludzi do pracy. Prostsze i bardziej bezkarnie. A przy tym cała sprawa nabiera zwykle większego rozgłosu.

Niedopuszczalne są te praktyki poszukiwania szerszego echa dla pozbawionych sensu wyczynów, które nie są nawet sugestią zmiany zawodu. Wykonywanie przez artystów swego powołania jest kolaboracją — co zatem nią nie jest? Nie trzeba przywoływać swoich orientacji politycznych, gdyż niezależnie od tego, jakie by one nie były, stwierdzić można, że nieprawdą jest zarzut stawiany przez nieodpowiedzialnych — ludziom sztuki. To tylko wymyślona sztuczna kolaboracja.

KRYSZTOF DRZEWIECKI

... kiedy jest się nietrzeźwym, ma się ochotę złapać czegoś konkretnego, kiedy łapie się stoł, chce się, żeby to naprawdę było drewno, a nie żeby ręka przez ten stoł przeniknęła. I dlatego nakreśliłem Tess’*.

PAWEŁ STRZELECKI

* Anna Dąbrowska — Coś konkretnego. Film, nr 29, 1981.



PROSTO Z KINA

Jaka jest Nastassja, a jaki Polański?

Jest taka scena. Tuż po ślubie młodzi małżonkowie zostają sami w stylowej rezydencji. Zasiadają do kolacji. Czerwone wino w kryształowych kieliszkach. Tess zakłada, podarowane jej przez Angelę, rodzinne klejnoty. Jest ubrana w długą, białą suknię. Włosy splecione w kok. Nareszcie zostaje odkryty każdy szczegół jej twarzy. Kamera nieruchomieje na długą chwilę na kobiecej postaci. I wtedy widać, jak bardzo jest piękna.

Roman Polański myślał o ekranizacji XIX-wiecznej powieści Thomasa Hardy’ego „Złoty chłopiec”. Złoty chłopiec, która mogłaby być, a nie tylko zagrać, Tess. Dziesięć lat oczekiwań i wreszcie... Nastassja Kinski.

Światem wiktoriańskiej Anglii rządziła konwencja. Obyczajowa. Silniejsza od najbardziej szczerego, głębokiego uczucia. Konwencja, która stała się przyczyną dramatu. Demaskatorsko ukazuje to książka — odważna, skandalizująca nawet — bezpardonowo rozprawiająca się z pruderią, zakłamaniami, obłudą swoich czasów.

Skonwencjonalizowany świat przedstawia film. Świat zamknięty w ramach pełnego, klasycznego piękna — krajobrazu, rezydencji, stroju i schematycznych postaw.

Dwaj mężczyźni potawiający się w życiu Tess — to figurolki w teatrze marionetek. Jeden z nich — ani młody dziedzic Alec d’Urberville, ani Angel Clare — nie potrafią zerwać z narzuconymi im przez konwencje rolami. Są sztuczni. Alec w swej spełnionej władzy posiadania, Angel, buntowniczo bez powodu w swym zaślepieniu Wyzwoliły czytelnik „Kapitału” Marksa nie umiemy używać się od obyczajowego tabu.

Jakże imma jest Tess-Nastassja. Zachwyca świeżością jej urody. Każdy stan uczuciowy zostaje subtelnie wypisany na jej twarzy. W sposób naturalny, przekonujący, spontaniczny Tess śmieje się, płacze, rozpacza po śmierci dziecka. Szczególnie nienawidzi Aleca, który „wykorzystał jej chwilę słabości”. Szczerze kocha Angelę. Pozostaje „czysta” nie godząc się na żaden poniżający ją układ. Do końca walczyć będzie o zachowanie swej tożsamości. Wiktoriańska Anglia nie potrafi dostrzec kobiecej indy-

W istniejącej strukturze prawo do ekspresji uczuciowej mieli tylko mężczyźni. Kobieta mogła stanowić dodatek, elementy tła. Nie powierzano jej wiodących ról. Dlatego każda próba wyjścia z cienia musiała kończyć się tragicznie. Nastassja przekonująco wygrywa dramat kobiety osaczonej i pokonanej przez konwencje.

Jest taka scena... Przed chwilą na wiejskiej drodze dokonano się zerwanie Tess z Alecem. Ona dumna i godna, nie chcąc zostać kochanką wielkiego pana, wraca do biednego, wiejskiego domu. Pora żniw. Bezchmurne niebo, jasno świecące słońce. Zbliżenie: pracująca kosiarka, tużcej skrzace się złotem, zboże. Teraz obserwujemy ludzi zajętych pracą w polu. Nisko pochyleni nad ziemią. Kolejne zbliżenie: dłoń nie zrecnie wiążące snopek zboża. Odpoczynek. Zmęczeni ludzie zabierają się do spożywania posiłku. To w tle. Na pierwszym planie Tess, siedząca jakby obok, osobno, zamysłona, daleka i nieobecna. Widz, mając w pamięci gwałtowność rozstania, a później ukojony sielskim, powoli przesuwającym się przed oczami obrazem żniw, zaczyna przeżywać chwilę niepokoju o bohaterkę. Uzasadnione. Ciszę, stateczność posilku zakłóca płacz dziecka. Kamera zmienia punkt obserwacji. Koncentruje się na małej dziewczynce trzymającej na ręku płaczącego niemowlaka. I znów zmiana punktu widzenia. Tess odbiera dziecko i karmi je pierśmi. Widz domyśla się: dziecko jest wynikiem „romansu” z Alecem. Zaczyna się kolejna odsłona dramatu.

Skrzące uczucia wyznaczają aktywność Tess: miłość — nienawiść, nadzieja — zwalpienie, radość — rozpacz. I według tej

amplitudy uczuciowych drgań zbudowane są poszczególne sceny, skonstruowany jest cały film.

Ktoś napisał: inny Polański. Daleki od formalnego popisu, surrealistycznego żartu, psychologicznego suspensu. Polański opowiadający melodramatyczną historię — niebawem doprawdy!

Historia wiejskiej dziewczyny, której przypadek — los odmienia życie. Przypadkowe spotkanie pastora z ojcem Tess staje się praprzyczyną dramatycznych zdarzeń. Ojciec dowiaduje się, że jest potomkiem wielkiego rodu d’Urberville. Wysyła córkę do dalekich, a bogatych krewnych(?). Tess poznaje Aleca. Uwiedziona, pełna nienawiści, postanawia rzucić wszystko. Wraca do domu. Nie znajduje spokoju. Narodziny, a później śmierć, nieślubnego dziecka skazują ją na poniewierkę. W czasie swej wędrówki poznaje, a raczej odnajduje, Angelę — zbuntowanego, acz sentymentalnego (melodia „Laury i Filona” wygrywana na fujarce — to znak młodzieńca. Tess obarczona mocnymi wspomnieniami długo opiera się miłości Angelę. W końcu przecież ulega. Kiedy zostaje żoną ukochanego człowieka, zdobywa się na dramatyczne wyznanie. Porzucona przez męża, który nie może pogodzić się z faktem, że Tess należała już do kogoś przed nim, na granicy nędzy i poniżenia, walczy o swoją godność. Znowu pojawia się Alec. Gwarantuje dobrobyt i... pustkę. Cena jest wysoka. Ale od ukochanego, który ze swoimi problemami uciekł do Brazylii, nie ma ani słowa. Tess ulega po raz drugi. W tym czasie wraca z Ameryki Angel, odnajduje żonę. Tess przekonuje

typie świadomego eklektyzmu, jakim wyróżniają się dyrygenci, wielcy wirtuoz, którzy potuszają się po obszarach jak gdyby zastanych narzucają swój własny porządek, wywierając tym samym piętno swojej indywidualności”. Bardzo trafna wydaje mi się ta uwaga ze względu na katalog wystawy. Autor tekstu Janusz K. Glowacki również celnie scharakteryzował spójność myślową Strzemskiego zawartą w twórczości Kunki. Szkoda jednak, że tak niewiele powiedział o równie chyba znaczącym dziełcu Legera. Ale to taka uwaga na marginesie. Wszak nie katalog tu opisuję, a wystawę. Właściwie zaś dwie wystawy, po których niemal jednocześnie obojętnością utwierdziłem się w przekonaniu, iż chociaż można każde dzieło plastyczne analizować wedle reguł teorii sztuki, a więc: układ form, napięcia kierunkowe, kolor, walor, mocne punkty i temu podobne zawiłości, to wszystko okazuje się nieistotne, mało ważne, kiedy stajemy przed obrazem i coś tam zaczyna nam „w duszy grać”. Potem możemy już analizować, ale to tylko utwierdzi nas w tym pierwszym odczuciu.

Cóż bowiem z tego, że prace R. Gierszewskiego przedstawiane są w cyklu wystaw prezentujących tendencje wizualne i konstruktywistyczne w polskiej sztuce współczesnej, co z tego, że można myśli konstruktywistycznej doszukać się również w obrazach L. Kunki, kiedy są to tak zupełnie różne światy.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

*) przypis prawie jak do referatu: słowo „szukać” ma tu, niestety, podwójne znaczenie. W tekście właściwym, czyli tym co powyżej, idzie im jedynie o wybieranie spośród wielu prac. W przypisie mam uwagi, co do ich prezentacji, bo szukać trzeba po tym tego jednego miejsca, z którego w ogóle cokolwiek widać. Tradycyjny, nakazujący pokazywanie grafik za szkłem, sposób na tej wystawie wyjątkowo utrudnia życie oglądającym. Delikatny relief niknie w odbitych w szybie obrazach sali, okien, całego nie mającego nic do rzeczy otoczenia. Z kolei zaś oglądanie prac mających pewne znamiona przestrzenności tylko z jednego punktu (bo z innych nie widać) daje wrażenie uboższe niż, jak sądzę, zamierzał autor. Przydałby się w takich przypadkach jakiś inny sposób eksponowania, żeby i prace miały odpowiednią ostono i widz miał większą przyjemność.

(K.N.)

NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI

Z jednego dwa światy

Zapoznaliśmy się

Mia to swoje dobre strony. Bowiem pisanie o dwóch różnych wystawach jednocześnie może być ciekawą przygodą. Zwłaszcza, jeżeli można zestawiać tak odmienne temperamenty jak Kunki i Gierszewskiego. Jest to wprawdzie nieco ryzykowne, bo z jednej strony to co już dokonane, z drugiej — to co trwa, rozwija się i na wystawie przedstawione jest jedynie wycinkowo. Niemniej, kuszący jest kontrast witalizmu i intelektualnej zadumy.

Przy tym jedno i drugie jest Sztuka. Tu wątpliwości żadnych nie ma, rzecz więc nie w wartościowaniu. Urok tego zestawienia wynika — jak mi się wydaje — z różnego u obydwu twórców podejścia do świata, otaczającej rzeczywistości. Kunka bardziej chyba był wrażliwy na nastroje i urodę różnych zjawisk, obrazów; Gierszewski zdaje się poszukiwać wartości trwałych, jakby znaków czwórego bytowania.

Kiedy się wchodzi na wystawę w parku im. H. Sienkiewicza, pierwszy zauważony obraz to „Celestyna”. Bez końca można patrzeć i coraz na nowo odkrywać zmiany barw konturów, odkształcenia formy, wypełnienie płaszczyzny obrazu, odczytywać ów zdumiewający porządek dwuwymiarowej przestrzeni.

W willi przy ul. Wólcząńskiej postój wystawionych grafik trzeba szukać. Nie sądzę, aby dla każdego właśnie pierwsza praca, do której się podejście okazała się tą właściwą, będąca kluczem do odczytania pozostałych. Trzeba trochę cierpliwości, nieco wysiłku. Skojarzyłam te prace z amonitami — to wcale nie żart. Maciej Gutowski we wstępie do katalogu wystawy Ryszarda Gierszewskiego podobnie je odczytuje, chociaż tego właśnie określenia nie używa. Sięgnięmy zresztą do tekstu: „Wśród

owych biologicznych form wyróżniają się wyraźny odcisk, nieraz pojedynczy, nieraz powtarzających się i również zmultiplikowany, czasem jakby przekształcający geometryczną formę, na niej się rysujący — ślad przebiegu linii papilarnych, odbicie palca. Więc wszystko ulega zmianie. To już nie relief sam dla siebie jako doskonałość techniczna, to nie graficzna decyzja czerni i bieli, to nie geometryczny podział — symboliczny przekaz procesu myślenia i podporządkowania świata, to odcisk, ślad człowieka — najprostsz i konwencjonalnie najbardziej indywidualny. Ow ślad jest raz podporządkowany rygorom, wpisany w geometrie, jej poddany, kiedy indziej znów ją przekreśla, przebijając, odnacza się ponad nią, nabiera znaczenia, wszystko sobie podporządkowuje. Ślad człowieka, ślad istnienia. Ledwie uchwytny, lecz na zawsze pozostający”.

Na tej wystawie przeważają prace wykonane różnymi rodzajami druku reliefowego, sądzę, że to nie przypadek, chociaż to jedynie jakiś wyinek twórczości Gierszewskiego, zatrzymanie w drodze. Może potem będzie już relief, może zwiększy się liczba znaków, jakby liter alfabetu, pozostanie zaś konieczność odczytania znaczeń?

Alte wróćmy do salonu w parku im. H. Sienkiewicza. Komisarz wystawy Tomasz Jaśkiewicz wyraźnie zaznaczył podziały w malarstwie Lecha Kunki. Prawie nie dostrzegamy jak przekształcał się jeden sposób obrazowania w drugi. Może to dobrze, a może byłoby ciekawie zajrzeć jak upodobanie do form postarzanych, tematów konwencjonalnych, by nie rzec akademickich zanikało na rzecz preferowania form biologicznych, struktur jakby komórkowych?

Najbardziej lubię te właśnie „biologiczne” obrazy. Najwięcej powstało ich w latach sześćdziesiątych. Każdy oglądany wówczas dostarczał nowych przeżyć. Chociaż dziś, z perspektywą lat, wydaje mi się, że w tych, gdzie Kunka dopisywał treści, zapożyczając, mam na myśli między innymi „Portret faszysty”, jakby nie był sobą, że te właśnie obrazy nie bronią się przed upływem czasu. W innych, mimo że tytuł mają trochę literacki („Wybuch nad ziemią”) obraz pozostał obrazem — dwuwymiarową przestrzenią, zabudowaną w określonym porządku, po której można nieskonieczność długo wędrować wzrokiem za każdym razem odnajdując coś nowego.

Kunka nie był odkrywcą w sztuce. „Analizując jego twórczość nasuwa się myśl o eklektyzmie, ale o tym szczególnie

Co mnie tam żandarmi czy szpiecie. Panie Kałuża, żenie się — mówił Józek, starszy syn Murawy. — Wczoraj wieczorem zatrzymał mnie na Zagajnikowej. Podobno w lesie znaleziono trupa. Leżał w krzakach kilka dni. Trzymali nas na Olgieńskiej cały dzień, dopiero jak wszystko sprawdzili — puścili. Co mnie jakiś zakłuty szpiec. Panie Kałuża, ja się żenie. I pan na moim weselu musi być. Ja proszę i ojciec także. Ojciec kazał prosić wszystkich sąsiadów. Najpierw przyszedł do pana. Pan nasz najstarszy sąsiad Wyprawę wesela jak na wsi. Całą noc i cały dzień, i jeszcze poprawiny. Muszą wiedzieć, że Murawa się żeni. Ojciec mówi to samo. Jankowi żenie się nie da, a mnie już od pół roku pogania: „Chcę, żeby mnie synowa doglądała, przed śmiercią chcę być z wszystkimi pod jednym dachem” — mówił. Ślub w sobotę, wesele u Frontczaków, poprawiny u nas. Blisko, bo na przeciwko. Ja zapraszam pana i całą rodzinę.

Kałuża naradził się z Anną, pojechał do miasta.

— Na wesele bez podarunku ani rusz — mówił.

W sobotę, w dzień ślubu, śniegiem zawiąło, karetą z młodymi ugrzęzła w zaspię, goście śmiali się, odgarnęli mięgiem. Stare baby na boku mówiły:

— Zły znak. Już na samym początku przeszkoda.

Młodzi przyjechali zaróżowieni, uśmiechnięci. Orkiestra grała marsza, na progu talerze leciały z trzaskiem, a Frontczak, ojciec panny młodej, powtarzał:

— Proszę siadać. Proszę jeść i proszę pić. O to jedynie tylko proszę.

Młodzi usiedli w środku długiego, zbitego z desek stołu, po obu ich stronach rodzice i dalsza rodzina, goście gdzie kto chciał. Podano bigos i gorącą kaszankę, jedzono, często podnosząc kieliszki i szklanki. Stary Murawa siedział sztywno, nalewał, przyjął do Frontczaka.

— Od dziś my jedna rodzina. U mnie miejsca dużo, mieszkanie dam, sprzęty dam, niech tylko się szanują i żyją po bożemu.

Wielki, pachnący jabłkami i sadem, chiop, krewny Murawy, nabierał drewnianą chochlą bigos, podkręcał z zadowoleniem wąż i mówił do siedzącej z boku żony:

— A w mieście Łodzi ludzie normalni, żyją zgodnie. Mówili inaczej.

— Gorzko — krzyknął Stach Stepniak, fabryczny kolega młodego. Inni podchwycili. Panna młoda odwracała głowę, czerwieniła się. Młody całował raz po raz. — Gorzko, gorzko — nie ustępowali.

— Co jest? Ile razy? — Józek zniecierpliwiał się. Polewano często, pito wódkę i piwo. W drugiej przyległej izbie muzykanci grali bez przerwy. Wywijano oberki i polki aż trzeszczała podłoga. Gwar wzrastał. Szron na szbach topniał.

Kałuża wychylał raz po raz. — Nie tak szybko, upijesz się — ostrzegła Anna.

— Raz do roku można. Pierwsze wesele na naszej ulicy. Pij ty też.

Naprzeciwko, po drugiej stronie sieni, w sypialni, Frontczakowa układała wielkie poduszki i piernaty, szykowała miejsce dla mniej odpornych. Niektórzy wychodzili na podwórko, wracali szybko, strzępywali wielkie płatki śniegu, siadali, rozgrzewali się od nowa.

— Polewać, polewać, jeść i pić — zachęcał Frontczak.

Młodzi tańcowali do upadłego, w przerwach wracali do stołów, obcierali mokre czoła, chłodzili się piwem i słodką wodą z sokiem. Starzy siedzieli pod ścianami, na długich, sosnowych ławach, obserwowali, wymieniali uwagi. Gdzieś niedaleko potworzyły się grupki dyskutowujące i politykujące zawzięcie. Po północy niektórzy mieli już dobre w czubie.

Władek Kabat, wózkarz od Kunitzera, podparł brodę, nastroszył włosy, rzadkie wąsyki:

— Co mnie twoja rewolucja. Dla mnie orzeł biały. To coś — mówił do Czeska Kuźniaka.

— Rewolucja, tylko rewolucja, wszystkich burżujów w ziemię. Maszyny nasze, fabryki nasze. Wszystko równe, wszystko wspólne.

— Nie, najpierw orzeł biały. — Najpierw wolność i równość.

— Mówię, że orzeł biały. — Równość, burżujów pod ścianę.

— Orzeł biały — wy, bezbożniki. Doskoczyli do siebie.

— Was, socyjałów, bezbożników, w morde.

— Was, narodowców, jak burżujów, pod ścianę.

Dolecieli inni, rozdzielali, tłumaczyli, nie dało rady.

— Na podwórko ich, w śnieg. A zrewidować czy browningów nie mają.

Obu wyprowadzono na dwór. Zostawiono, zamknięto drzwi. Wrócili po dobrym kwadransie, obaj w śniegu, jak bałwany, obcierali zakrwawione twarze, w kuchni obmywali się, czyścili. Przy stole wypili na zgodę.

— Dobra, zgoda, ale najpierw orzeł biały.

— Najpierw równość, rewolucja.

— Chłopaki, zgoda, było wypite. Z polityką koniec.

Nad ranem pukano do furtki. Frontczak wyszedł otworzyć. Wprowadził rewierowego Bliźniuka i dwóch żołnierzy Kabat podniósł znad stołu ciężką głowę.

— W morde, kacapa — wybelkotał.

— Bij mocha w leb — zawtórował Kuźniak.

Wstali. Rewirowy cofnął się. Soldaty nadstawili sztuki.

Frontczak przeproszał, Kałuża nalewał, częstował:

— Pijani nie wiedzą, co mówią.

— Jak ja ich zabiorę do cyrkułu i dam po pięćdziesiąt nahańców, to będą wiedzieli co mówią.

— To młode, pijane, głupe.

— Ja ich znajdę, łódzkie czorty.

Bliźniuk wychylił szklankę, podał żołnierzom, nastroszył się.

A wziąć mi ich z oczu. Bo ubiju jak sabaki. Na mnie kacapa. Ja kacapa? Gaspada, ja iz Kijowa. Ja nie kacapa.

Po drugiej szklance mówił łagodniej:

— Polaczki, wy harde dusze. Ja was lubię. Inaczej to ja bym ich zabrał. Zgniliby na Długiej.

Frontczak szykował paczkę z zakąską i dużą, kilkukwartową butelkę.

— To, panie rewirowy, na rozgrzewkę. Mróz, służba ciężka.

Wychodząc Bliźniuk mówił do siebie:

— Ja, kacapa? Łódzkie czorty.

Rano podano barszcz z żeberkami. Stary Murawa mlaszał wargami, obcierał mokre wąsy.

— Barszcz, nasz barszcz, a do tego grzyb prawdziwek, to ja już jestem u siebie. Mnie nic więcej nie trzeba.

Niektórzy, słabsi, o mniej odpornych głowach, spali w sypialni na kanapach, łóżkach i podłodze. Frontczakowa rozpałała w wielkim kaflowym piecu.

— Trzeba dobrze podłożyć, żeby nie pomarził.

Frontczak chodził, okrywał śpiących.

— Teraz armata ich nie obudzi. Za dwie godziny będą na nogach.

Muzykanci także odpoczywali. Otwierano okna, wietrzono. Przy bramie, grupa ośnieżonych wyrostków przytupywała machała rękami. Józek — pan młody, wyniósł im butelkę, dziękowali.

W sieni, wśród sterty palt, krasnych pasiastych zapasek, kożuchów, starszy druźba, czerwony na gębie, Stach Paliwoda, zataczając się krzyczał:

— Młoda do oczepin. Budź młoda.

Muzykanci zaczęli szybko, z impetem, szyły polki, obertasy, mazury. Stare baby siedziały w kącie, przy piecu, wodziły oczkami, szepotały.

— A panna młoda bez war-kocza — mówił podpiity, pachnący jabłkami, czerstwy chłop. — Ale wianek jest — druheny otoczyły pannę młodą.

Potem zaczęły:

„Ostaj z Bogiem panno młoda, wianeczek ci z głowy spada. Już cię ojciec odstępuję. wianek z głowy ci zdejmuję”.

Druźbowie podiatywali i z przodu, i z tyłu. Wyciągali ręce, zabierali czepkę. Na głowę młodej wciskali swoje kaszkiety i baranice, ona uchylała się, pieszczala, zrzuciła je na ziemię.

Druheny śpiewały:

„Nie chciała chodzić w wianeczku niechajże chodzi w czepeczku”.

Starsza druhen obchodziła wszystkich z talerzem w ręku:

„A trzeba młodej dać, trzeba dać nie trzeba sto rubli żalować”.

Wszyscy obtańcowywali pannę młodą, do młodego nie dopuszczali. Przy obiedzie posadzili ich w przeciwległych końcach stołu.

ANTONI RYDLEWSKI

Radość, smutek i gniew

Antoni Rydlewski ma 42 lata, jest robotnikiem. Jest też rodowitym łodzianinem. Pracował w budownictwie, „Elesterze” i ŁZPB im. Obróńców Pokoju.

W 1979 roku otrzymał II nagrodę w konkursie „Czołenko włóknierskie”.

Obecnie publikujemy fragment nie drukowanej powieści o Łodzi z roku 1906 — 1907, a więc czasów schyłku Rewolucji 1905 roku.

Druheny odpowiadały:

„A tańcował Odrzykiecka i nawracał do przypiecka”.

Inni podchwycili:

„Kto tańcował, kto to ta? Odrzykiecka niecnota”.

Wywijano, przytupywano, aż drzazgi leciały, piskom, śmiechom, nawoływaniom nie było końca. W drugim końcu izby Janek Okupa, przykręcacz od Poznańskiego, zwany „lepol” odchyłał niebezpiecznie głowę

— Będzie wódka, będzie piwo, będzie młoda razem z młodym.

Józek kiwał na teścia, szli do szopy, mieszał okowitą z miodem, odbijali antalki z piwem, taszczyli do weselnej izby. Młody kłaniał się, stawiał na stole cynowe dzbanki, butelki, antalki.

— Mało — krzyczeli druźbowie. — Mało — podchwytowała reszta.

Młody dokładał. Dopiero, kiedy na stół wytaszczone wielkie misy z wotowiną i grochem druheny i druźbowie udoobruchali się, mówili łagodniej:

— Oddać młoda. Już jego wykupił ja.

Młoda przeszła na swe dawne miejsce. Siadła razem z młodym pośrodku, pod świętymi obrazami: Jezus z otwartym, przebitym sercem i Matka Boska Częstochowska. Jedzono, przepijano gorzałką i piwem. Potem skoczył Stach Paliwoda, skrzypcze cienko zapiszczają, on zaczął:

„A pytała matka córy, czy tańcował z tobą który”.

Wpada Józek — pan młody. — Po moim trupie. Chłopaki to moje wesele. Zadnej bijałki. Porachunki odłóżcie na potem. Teraz ma być zgoda.

Oni spoglądali spode łba, wrogo, zacięci.

— Przyjeździemy na Księży Młyn, w stu chłopa, tego waszego Braunego z dymem puścimy.

— Przyjeździe, połowę odwożo do szpitala Poznańskiego.

Inni stanęli pośrodku, odprowadzali obu w przeciwległe końce izby.

Kałuża miał dobrze w ezubie. Annie kleiły się oczy, nalegała. Brnęli przez zawiara śniegiem ulicę. Spali aż do wieczora. U Frontczaków okna jaśniały, muzyka grała, wesele trwało w najlepsze.

Wegner umarł w jasny, mroźny, niedzielny poranek. Pogrzeb był skromny. Mała grupka, najbliższa rodzina i kilku sąsiadów, brnęła po kolana w śniegu, główną aleją ewangelickiego starego cmentarza. Pochowano go w rodzinnym, ogrodzonym żelazną balustradą grobowcu, tuż przy niepokojnej mogile murzyńskiego aktora. Pastor mówił krótko, chu-chwał w skostniałe dionie, patrzył po twarzach obecnych. Potem wszyscy szli śpiesznie wśród zawiarych śniegiem marmurowych posągów i krzyży. Bratanek Hans, kondolenci nie przyjmował. Wyminął gromadkę stojącą przed bramą, postawił kolnierzyk palta, wsiadł do zakrytej dorożki, odjechał.

— Podobno cały szczerzył i spuchł. Ledwie się zmiescił w trumnę — mówił mały grubas do wysokiej Niemki w karakułach.

— Taką wola boża. So Gott wolle.

— Tamten wszystko przepuścił. To wyrodek i pijak, w głowie mu tylko teatr, aktoriki, karty. Ciekawe na ile mu starczy? — Niemka przystanąła, energicznie machnęła ręką.

— U nas on jest skończony. Nie poprosił nawet na stypę. Niech robi co chce.

Hansa, bratanek Wegnera i głównego spadkobiercę, więcej nie widziano, mówiono, że wszystko sprzedał i wyjechał za granicę.

— Jak tak dalej pójdzie, wybijamy się własnymi rękami — mówi Szymkowski. — Strach chodzić po mieście. Nie potrzeba kozaków, wojska, strzela Polak do Polaka. Tylko dlatego, że jeden narodowiec, drugi socjalista. Wojsko i policja interweniuje po czasie, śmieją się, podobno mają specjalne rozkazy, żeby się nie wtrącać. Tak było na Szezyngu.

— No, właśnie, jak tam było. bo ludzie mówią różnie — spytał Kałuża.

— Socjaliści i cała lewica obwinia księdza Wyrzykowskiego. Ja w to nie wierzę. To dobry ksiądz, nieraz wstawiał się za ludźmi u władz. Mówią, że nie chciał poświęcić zwłok dwóch zabitych przez narodowców socjalistycznych bojówkarzy. „Jak oni nie wierzyli w Boga, tylko w jakiegoś Żyda Marksa, to niech ich towarzysze zakopią pod murem. Ja święcił nie będę”. Tak miał powiedzieć. Wtedy cały kondukt, rodzina i obstawa, wszyscy ruszyli pod plebanie. „Wyłaż carski stuguse”, „Obwieś się medalami i idź żebrać do Pienkowskiego” — krzyczeli Ksiądz zamknął się na plebanii, nie wyszedł. Wyłuki mu szyby. Za to do kościoła, bocznym wejściem weszła z trumną grupa narodowców, która też chciała poświęcić zwłoki swego towarzysza, z kolei zabitego przez socjalistów. Głównym wejściem, ze swoimi trumnami, dobijali się socjaliści, w środku ze swoim nieboszczykiem zabarykadowali się narodowcy. Wejścia podparli lawkami i konfesjonalami, zaczęli bić w dzwony. Po parafii rozeszli się lotem błyskawicy, że bezbożniki socyjały napadli na kościół i plebanie. Wtedy się zaczęło. Lecieli wszyscy, wyrostki i stare chłopcy, każdy z kijem lub „giwera”. „Naszego Wyrzyka biją” — krzyczeli. Socjalistów wzięli w dwa ognie. Strzelano z okien kościoła i z wieży, a także z

połbliskich drewniaków. Oni kryli się za kościelnym murem i za drzewami. Strzelani-na trwała kilka godzin. Na nogach był cały Szezyng. Podobno pierwsi zaczęli strzelać „Sokoly”. Policmajster Chrzastowski zakazał interweniuować, śmiał się, zacierał ręce. „Niech Polaczki do siebie strzelają. To lepsze niż zamachy na naszych agentów” — tak podobno mówił. Pod kościelnym murem ułożono dziewięciu zabitych, a zatrobowanych i poturbowanych było kilkudziesięciu. Pogotowie obracało kilka godzin.

— Żeby ksiądz wyszedł i poświęcił, byłoby wszystko dobrze — wtrącił Broniek.

— Wyrzykowski obawiał się i chyba miał rację. To dobry ksiądz. Był na wojnie w Mandżurii. Ma wysokie odznaczenia. Często wstawiał się u władz za swoimi parafianami, nawet za socjalistami. Ma u ludzi poważanie.

— Ale obstawa ma. Znajomy załatwiał ślub, to mówił, że na parafii pełno podejrzanych drabów.

— Nie ma się czemu dziwić. Socjaliści odgrazali się, że pomuszają swoich.

Kałuża słuchał, kreślił głową. — Żeby Polak, Polaka. Wstyd. Już dawno mówiłem. Partię, przywódcy, każdy kreśli dla siebie, dla własnych ambicji, a ludzie giną. Teraz wszyscy szcują na mariawitów i Żydów. Co ci ludzie winni? Broniek, a co mówią wasi?

— My mamy jeden cel, bić Moskali, tak mówił „Montwill”. Popieramy więc zgody. Rozróbek między partiami unikamy. Czy dojdzie do zgody, nie wiadomo. Wszyscy obawiają się wszystkich. Władze zwlekają.

— A w mieście anarchia. W piątym roku wszystko było jasne, wtedy jedność scalała wszystkich. A teraz? Jechałem z cegłą Przedzalaniana, Emili od Widzewskiej szedł pochód. Nieśli sztandary z białym orłem, śpiewali. Pady okrzyki: „A zdjąć tego białego koguta, zdjąć te gęsy”. „Nam to niepotrzebne”. Obstawa narodowców zaraz zaczęła strzelać. Poszły w ruch drągi, deski, kije. Kottowali się z godzinę. Postronni przechodnie kryli się gdzie mogli. Ja zostawiłem wóz, przejechałem przez płot pałacu Herbsta. Kiedy wyszedłem, cegły już nie było, rozdrapał, za to na ulicy pełno ceglanego gruzu. Przed famulami, przed własnym progiem leżał ciężko ranny robotnik. Wyszedł zobaczyć co się dzieje. Niewinny człowiek. I co?

Broniek słuchał ze spuszczoną głową.

— Partia rozbita. Anarchiści, esdecy, narodowcy, chadecy, wszyscy przeciwko wszystkim. Agitatorzy i podżegacze nie przebiegają w środkach, gazety także. Jedni szcują na drugich, a robotnicy tłuką się między sobą. W każdej fabryce — walki o wpływy. U nas bierze się pod uwagę ograniczenie działalności nawet kosztem utraty wpływów. My bratobójczych walk nie chcemy. Fabrykanci i władze umiejętnie wygrzywają jednych przeciwko drugim, tylko oni mają z tego korzyść.

— Strach chodzić po mieście — mówił Szymkowski. — Z dzielnic do dzielnic trudno przejść. Z Bałut do miasta mariawici i Żydzi chodzą całymi grupami po kilkaset osób, z obstawą. Pojedynczo — strach. Na Konstantynowskiej, na Rzgowskiej, wieczorem czują bandyckie szajki, napadają, rabują wszystkich, policja interweniuje po czasie. Ludzie barykadują się we własnych domach. Nie wiadomo, kto wróg, kto przyjaciel.

— To celowa robota, ale do czasu. Teraz przyglądają się, jak Polak strzela do Polaka. Władze carskie mają w tym swój cel. Występują jako obrońcy prawa, porządku. My chcemy skończyć z tą szarpaliną, odwrócić dotychczasowy bieg wydarzeń. Nie wszyscy nas rozumieją. Niektórzy obwiniają o przegrane strajki. Błędne koło. Emocje biorą górę. A fabrykanci zacierają ręce.

Broniek chodził od ściany do ściany, przystawał, spoglądał na Kałużę, na Szymkowskiego.

— Moryc Poznański miał powiedzieć: „Wami można kreć jak starą katarynę”. I co?

Kałuża i Szymkowski milczeli.

— Cwany Żyd, ale mył się. My to udowodnimy. Przyjdzie kiedyś czas, że o sobie stanowiąc będziemy sami. Wtedy my im zagamy naszego mazurka, a oni zatańczą tak, jak zobechmy. To nasz cel.



Rys. Janusz Szymański-Ciano

Kolumna Ajencyjna

Kolumna dziesiąta
(bogato ilustrowana!)

KĄDZY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE
SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

Nasz mały jubileusz

Z okazji dziesiątego, jubileuszowego, poniekąd numeru Kolumny Ajencyjnej, postanowiliśmy wydać małe przyjęcie, w stylu — powiedzmy — polinezyskim, to jest prawie bezalkoholowe, ale za to oparte na różnorodnych owocach.

Po dojrzałym pomysle odrzuciliśmy jednak ten pomysł jako przedwczesny i głupi. Winogrona co prawda można niekiedy dostać, ale trzeba stać po nie w bardzo, bardzo długiej kolejce, natomiast ananasy i inne frukasy — choćby tylko z puszek — kosztowałyby w prywatnych sklepikach prawdziwy majątek.

Znacznie rozsądniej byłoby tedy pożyczyc potrzebna na bankiet forsa (mniej więcej) tyle, ile widać na fotografii, bankietek wydać zaś dopiero z okazji tysięcznego, czy nawet dziesięcioletniego numeru, rachunek płaciąc z uzyskanych procentów.

Ku zachęce dodajmy, że ewentualny pożyczkodawca zostanie na bankiet zaproszony, może też liczyć na zwrot zainwestowanej sumy.

AGENT



Włodzimierz Krzeziński

Świńska piosenka

Ach, zaśpiewajmy zgodnym chórem,
już zbliża się radosny dzień:
znów ceny świnek pójdą w górę
i spełni się nasz świński sen — —

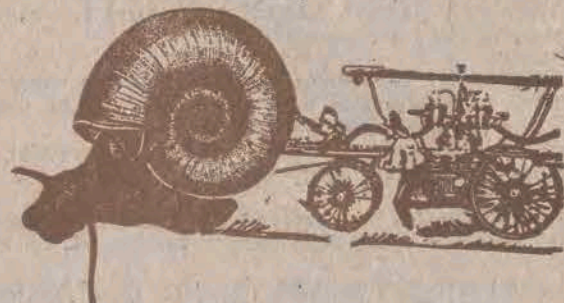
nareszcie wieprze będą w cenie
i wszyscy ludzie ujrzą, że
naprawdę piękne jest marzenie,
kiedy o szynce marzy się!...

Nie jeden wieprz się martwi skrycie,
aż mu od tego chudnie schab,
że nie wyjedzie za granicę —
i lzy po ryju mu kap kap...

Kiedyś na jego świńskiej głowie
spoczywał eksportowy plan,
dziś za to w kraju z myślą o nim
kładą się spać miliony pań!

Próżno się złości pan Iksiński,
próżno pan Igrek klnie: psia mać!
Od dzisiaj po ogonek świński
w długim ogonku będą stać!

I wiemy też, że lata miną,
a śwince każdy będzie rad,
jeśli ktoś kogoś nazwie swinią —
to jakby miód mu w serce kładł!...



Przeklęta biurokracja, czyli ZAPRENUMERUJ CAŁE

Odgłosy

Henryk Jagodziński

PRZEBŁYSKI

Dla katastrofalnych natur każdorazowy przejazd tramwajem jest katastrofalny.

Cóż, że portfel nowy, gdy w kieszeni pusto.

Już starożytni wiedzieli, że świat nieuchronnie zmierza do zguby, ale nie przypuszczali, że potrwa to tak długo.

Czytelnicy „Polityki” zauważyli bez wątpienia, iż pismo to opublikowało najpierw blankiet wlotu na prenumeratę, już w numerze następnym musiało wszakże tenże blankiet uprzednio tłumaczyć się gęsto, iż mimo niezliczonych ustaleń i uzgodnień nie udało się blankietu — że tak powiemy — w pełni zrealizować. Jedynie prawdziwie ważne blankiety z zielonym paskiem i nadrukami „prenumerata praw” leża (lub przynajmniej powinny leżeć) w paczce.

Otoż z nami podobnie Chcieliśmy umożliwić Czytelnikom prenumeratę samej tylko Kolumny Ajencyjnej ostatnio zreszta o tyle ciekawiej, że po drugiej stronie tej strony czyli niejako na naszych plecach, znajduje się także popularna fantastyka Opracowaliśmy cały system żniwek, bonifikat i zachęć niestety uparta biurokracja za nic nie chciała nam zrobić to test odnieść na ręce — A kto będzie wycinał — wycinał — a czym będzie ten ktoś wycinał — wycinał — po co, na co, w jakim celu no i tak w kółko.

Słowem nie ma rady: chciesz regularnie otrzymywać Kolumnę Ajencyjną a przy okazji zaoszczędzić osze złotych — zaprenumeruj całe „Odgłosy”. W skali rocznej kosztuje to zabawa 780 złotych (o 80 złotych mniej niż pół litra wódki w taniej melinie), w skali półrocznej — 390 zł kwartalnie — 195 zł.

Kandydat na prenumeratę — podkreślamy — winien znać własne nazwisko, adres, kod pocztowy oraz w odpowiedniej rubryce bezbiednie podać indeks naszego pisma czyli 38762.

Pożądana jest umiejętność pisania (blankiet trzeba wypełniać własnoręcznie) oraz ewentualnie również czytania, choć na Kolumnie Ajencyjnej obrazków jest akurat sporo.

★ SUPER-TEST LITERACKI ★

Ka-Nefer mówi:

— Czy ty widziałeś kobiety, które się nie sprzedają?

Co on słyszy?! Jakże słowa wypowiedział ta bezwstydną kobieta? I dlaczego tak kusząco ślni księżyc na jej twarzy? Byłaby to pokusa zesłana mu przez bogów?

— Pomyśl, co ty mówisz, Ka-Nefer!

— Pomyślałam.

— Pomyśl jeszcze raz.

— Pomyślałam.

— I po raz trzeci! O tym myśli się trzykrotnie.

Czy ona szydzi, czy umyślnie pragnie podrażnić go mówiąc:

— Trzykrotnie pomyślałszy powtarzam: wszystkie kobiety są sprzedajne!

— Wstydź się swoich słów Ka-Nefer!

— Zamiast odpowiedzieć kobieta wyciąga nogi i opiera je na jego lewym biodrze. Zamiast odpowiedzieć — odwraca głowę do tyłu i rozkłada ramiona.

Neferuf biednie z gniewu

Znieważyła ją w tej chwili, natychmiast. Zemści się za wszystkie kobiety, które oskarżyła tak niesprawiedliwie.

— Dobrze, Ka-Nefer — Neferuf wstrzymuje oddech —

— Ty żartujesz, Ka-Nefer!

Ona kładzie mu nogi na kolanach i gładzi jego brzuch stopą.

— Ty żartujesz, Ka-Nefer!

Ona mocniej przyciska nogę do jego brzucha.

— Te kobiety są jak ziola, są jak rzeki płynące swym tożyskiem w dół. Są jak liście na drzewach, czerpiące soki i zieloność ze słonecznych promieni. Są to samice, które nie potrafią pohamować swojej żądzy. Ona obmyślała dla mnie próbę. Ale jakże ja ją mogę kochać, jeżeli dusza moja związana jest przysięgą? Jakże mógłbym ja wziąć w ramiona, kiedy o ówczesnym sechym stadzie szczęśliwie najbardziej zmienawidzony ze wszystkiego co istnieje?!”

Niechaj będzie, jak chcesz. Ileż to kosztujesz ty sama?

Nie patrz na niego odpowiada:

— Ile dasz. To sprawa twojego sumienia.

— Mójże?

— A czyżoż?

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

— „Wiem, ale nie powiem, bo się wstydzę” — również uznajemy.

PYTANIA KONTROLNE

1. Czy znasz nazwisko autora i tytuł książki? Jeżeli nie — możesz zrehabilitować się przy pytaniu następnym.

2. Czy domyślasz się w jakim kraju i w jakim okresie toczy się akcja? Dla ułatwienia dodajmy, że nie w Polsce choć istnieje dość popularna polska kieliszka o wydarzeniach umiejscowionych w tym samym kraju choć nie w tym samym czasie. Wymienienie tytułu tej książki uznajemy za poprawną odpowiedź na oba pytania.

3. Czy — nawet nie będąc jasnowidzem — wiesz mniej więcej co by się stało, gdyby nie to cholerne stukanie do drzwi? Odpowiedź

OCENA ODPOWIEDZI

TRZY ODPOWIEDZI POZYTYWNE. Gratulujemy wszechstronnej erudycji! Jeżeli już nie jesteś to z pewnością zostaniesz mianowany co najmniej docentem.

DWIE LUB JEDNA ODPOWIEDZ. Masz pewne braki w lekturze. Może by zacząć od doktor Wiktorcie?!

ZADNEJ ODPOWIEDZI. Wróć do lektury „Płomyczyka” Kolumny Ajencyjna jest niestety dla Ciebie za trudna.



Rys. Adam Bienkowski

Dokończenie ze strony 1

Ciuchy z jajami i drobiem. Ciuchy z owocami i warzywami. Ciuchy — wszędzie. Złamały ten, jak się zdawało, wszechpotężny porządek rzeczy, który dzielił jarmark na oddzielne rewiry. Jeden tylko „koński targ” ulokowany daleko na wzgórkach ustrzegł się przed nimi. Tam, pośród zaprzęgów, furmanek, ciągników i platform dobijają targu jarmarczni potentaci, milionerzy nieledwie. Konie, krowy, owce. Banknoty, pliki banknotów: Kopernik rzadko — przeważnie Chrobry albo Chopin. Ciuchowi duszgrasze nie mają tutaj więc nic do szukania.

Wędrowniacy tym ruchomym i żywym traktem przypominają egzotyczną wyprawę w głąb ludzkich namietności. Przy każdej budce, skrzyni, każdej babinie usłyszeć można kawałek prawdy o życiu, poznać historie jak z baśni. Raj dla poety, kopalnia modeli dla zreżnego szkicownika, który znalazłby tu bez wątpienia ostatnich mohikanów mijającego bezpowrotnie czasu: koniarzy i handlarzy, brodatych starowierców i pejsatych Zydownów, mamusię w gumniakach spacerującą pod rękę z córkami „na obcasie” i w nylonach, nowomiejskich cwaniaczków handlujących złotem zza pazuchy i wroczałych dziadów przeważających bez pośpiechu czerstwe bułki.

Odejda niedługo, przepadną, zagina. Ostatni czas, by jeszcze to ująć, utrwalić w pamięci. Może zachować?

„Cztery gesty, dwie niewieście, uczyniły jarmark w mieście” powiada staropolskie przysłowie. Od tych dawnych czasów wiele uległo zmianie. Przedtem kupieckie rewiry obejmowały centralne punkty grodów, a miasta wręcz promieniście rozbudowywały się wokół rynków. Teraz jest inaczej — jarmarki spycha się coraz dalej, wstydliwie ukrywa za opłotkami, na wsi niemal, nie bacząc na stare prawo z 1507 roku, które zakazywało jarmarków i targów po wsiach pod karą utracenia rzeczy przywiezionych na sprzedaż.

Dzieje się tak i w Suwałkach. Mieście przez dziesiątki lat żyjącym z handlu i na handlu wyrosłym za czasów władania węgierskich kamedułów. Jeszcze przed wojną gród nad Czarną Hańczą służył nie tylko z malowanych ulanów przygranicznego garnizonu, ale i targów obfitujących w rozmaite dobra z przygranicznego — pruskiego i litewskiego — przemysłu. Osobliwie zaś popularnością cieszył się niemiecki brand-spirytus i „trophy” (eter), którymi narkotyzowała się cała ówczesna podsuwałska wies.

Jeszcze po wojnie targi królowały w centrum miasta. Czworobok drewnianych kramów tworzył niepowtarzalną atmosferę tego sielsko-miejskiego ośrodka, który rzadkim wówczas turystom z „wielkiego świata” jawił się zakątkiem sennym, zapomnianym przez Boga i partie, ale niezwykle uroczym. Nie tylko starzy suwałczanie wspominają dziś ów rynek dóbr wszelakich, pełen gdzie po konkurencyjnie niskich (!) cenach kupowało się smaczkowite schaby, świeżutką cielęcą, przepyszne sery, najłagodniejszą w okolicy śmietaną czy najsmaczniejsze masło — co dzisiaj brzmi rzeczywiście jak opowieść z bajki.

Miasto jednak obrastało w dostojników, rosły ambicje nągdyjszych włościan i biedniaków. W końcu o swoje upomniała się wielka suwałczanka — Maria Konopnicka, przez swojaków pieszczotliwie nazywana „Marysią”. Z taką konkurencją nie było co walczyć: handel wyrugowano, plac obsadzono drzewami, splantowano, a na samym środku ozdobiło pomnikiem-potworkiem, który miał być dowodem wdzięczności złożonym Wielkiej Rodaczce. Tak to u zarania lat sześćdziesiątych rozpoczął się wielki odwrót czcicieli Merkurego w stronę miejskich rogatek. Na rynek nazwany placem Marii Konopnickiej zaczął wracać postęp, który pod koniec lat siedemdziesiątych dał jeszcze raz znać o sobie wyasfaltowaniem skwerowych alejek. Pomnik zaś, który miał być dumą mieszczaństwa, dzisiaj raczej wyrzutem sumienia: nieudany i zaniedbany nie wystawia im dobrego świadectwa. Wprawdzie tu i ówdzie od czasu do czasu przebąka się o potrzebie zburzenia i postawienia nowego, ale projekt ten jakos na szerokie wody wypłynąć nie może.

A jarmark? Handlowe królestwo przeniesione najpierw w rejon ulicy Engelsa. Wtargnęły nań wówczas paczkowe cuda z oceanu: dzinsy, kiecki, nylony, koszule z naszywką „Made in USA”. Sprzedawane za bezcen, bo na wsi — gdzie głównie trafiały paczki — bezużyteczne. Był to czas istnego eldorado dla miejskich elegantów i coraz częstszych turystów. Prawdziwe prosperity przeżywał pobliski bar (z przekory czy też bliskości cmentarza) nazwany „Zacisze”, a przez byłowalców przechrzczony na „Pod Trupkiem”.

Ten raj nie potrwał też zbyt długo. Na miasto spadły wojewódzkie zaszczyty. Cała Polska śmiała się z zarządzenia wojewody zakazującego pędzenia krów główną ulicą miasta, a jarmark przeprowadzono na plac, który do niedawna był wyłączną domeną „końskiego targu”, gdzie do dziś ścisła się z pozostałymi handlowymi rewirami.

Zmieniło się i co nieco na straganach. Dzinsy kosztują nie mniej, niż na bazarze Różyckiego. Dała o sobie znać, przez jakiś czas, bliskość wschodniej granicy. Radzieckie złoto, zegarki, zabawki. Potem swój plon przyniosły inne wycieczki — na Zachód, zwłaszcza popularne Bratysława — Wiedeń, które zasypały stragany włoskim moherkiem, wyrobami „Made in Hongkong”, a elektroniczną tandetą w szczególności. Wypłynęły na rynek tureckie „barany” i „lisy” z pobliskich ferm. Teraz, od

Jarmark po suwalsku

roku, te źródła coraz bardziej wysychają. Królestwo obejmuje zawartość „zrzutów” — paczkowych darów z zagranicy. Znoszone damskie kozaczki obok całkiem nowych spodni i koszul. Przebrzmiała elegancja znad Renu, Adriatyku, ze Skandynawii. Przegrane szampony „Gruner Apfel” z kakao „Sprint”. Remanenty litociwch szaf robią turorę, ubierają kolejną turę elegantów, a przedsiębiorczym pośrednikom przynoszą kryzysowe fortunę.

Daje o sobie też znać rodzima produkcja. Bawełniane koszulki o lingwistycznych ambicjach (Napisy: „I just know He somebody loves me!”, „Give me your sex” itp.) za jedyne osiemset złotych konkurują z ciepłą białą zdobioną elegancją „Coca cola” albo „Word Cup Espana 82”. Tombakowe złudzenia na palec za kilkadziesiąt złotych zastąpiły radzieckie pierścioraki. Choć tu i ówdzie reszki tej przemysłowej świetności jeszcze się ostają. Ceny, jak na kryzys przystało!



Lubię te środy. Obejść by się bez nich nie mogli chyba suwałczanie. Zauroczyć dają się nimi przybysze, którzy tu trafiają. Nie tylko ze skłonności do handlu, czy braków w sklepach. Suwalski jarmark — po prostu — wciąga swoistą atmosferą, posmakami niecodzienności, zadziwiająca żywotnością, urzekającym niepowtarzalnym pejzażem, swoistym folklorem.

Oto idę, przepycham się raczej. Z lewej strony znajoma, pordezwała tablica — cenniki: buraki, marchewka, pietruszka itd. Obok — wolne miejsca, w które nigdy jeszcze ręka ludzka nie wpisała żadnych cen. Dalej — jedyna murowana budka, oświetlona jak zawsze. Ale nie z przyczyny wielkiego plakatu: „Rolnik! Centrala Nasienna...” itd., czego nikt dalej już nie czyta, bo oto staje w kolejce, liczy niecierpliwie monety, pcha się do okienka po należąca porcję swojskiego „lekkiego” z suwalskiego browaru, które nie z racji swobodnych obyczajów, lecz kryzysu wygryzły buńczuczny „full light beer”. Rachunek prosty: trzydzieści złotych pomnożone przez ilość butelek.

Mógłbym, jak handlarze z krakowskiego, pójść na „koński targ” zrobić wspaniały interes, mógłbym jak hurtownicy z Warszawy szukać taniej owczej wełny, „lisów” albo „nutrii”. Czy też jak wielu nadhańczańskich mieszczan zakupić parę tanich prosiat do tuczu w przydomowej komórcie.

Mógłbym. Lecz ja wolę strwoić swój czas. Posłuchać niezbyt zrozumiałej, choć swojskiej repliki młodziana popędzającego kolegę: „Kaj tam, podziw tukej, zara kupia se szwedka”. Lwowskiego zaciągania i wileńskiego śpiewu. Wolę popatrzeć jak domorosły muzykant targuje harmonię, różną oberka i bezbiednie wychwytyjąc wady instrumentu.

Wolę pójść dalej, gdzie pod płótnem stoja krążownicy, wiejskich szos — motory i skutery — a ich właściciele na tej zaimprovizowanej giełdzie samochodowej (auta też się trafiają) wiodą fachowe dysputy, albo — przy piwie — opowiadają o życiu.

Moge tracić czas na oglądaniu amyslnie skonstruowanych wiatraków, sań (robotycznych i do kościoła, a raz trafiła się nawet prawdziwa bryczka!), drewnianych bujanych koni, kogucików na druciku, bocianów, cebrow i drewnianych włader (!), donic, glinianych ptaszek, rykowskiowych bohomazów, cudów i cudniek.

Wystarczy tylko zagadnąć zatrzymać się dłużej, by poznać nie tylko mechanizm właściwego ubijania targu, ale — jedynie za cenę cierpliwości — usłyszeć historię jakiej nie przeczyta się w żadnej książce, ani gazecie. Tym piękniejszą, że prawdziwą.



Zapewne podobne towarzysko-handlowe meetingi odbywają się w innych miejscowościach. Każdy jest jednak inny, każdy, ma swój specyficzny charakter, koloryt. Tylko niektóre usankcjonowane są wpisem w turystyczne przewodniki (bazar Różyckiego, Jarmark Dominikański, końskie targi w Bodzentynie). Na inne trzeba po prostu trafić. Jak w Suwałkach.

Dla mnie jarmark suwalski nierozdzielnie wpisany jest w pejzaż miasta. Jest fragmentem jego organizmu. Dlatego wypada go uszanować, utrwalić i zachować przed zapomnieniem.

ZBIGNIEW BISKUPSKI

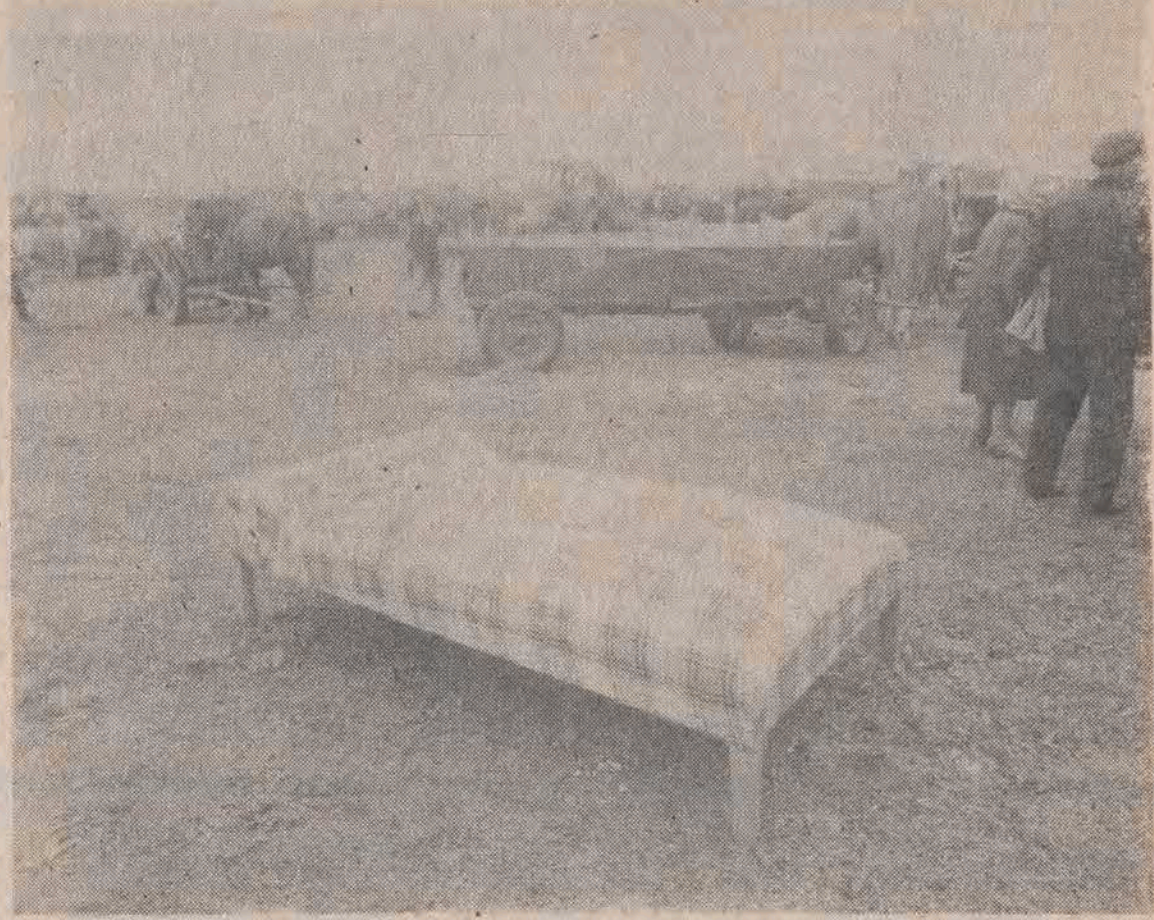


Foto: Roman Łysionek